Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem

Cena 30 gr.

GŁOS

DWUTYGODNIK POLSKIEJ MYŚLI NARODOWEJ

Nr. 12 | Poznań, dnia 20 lipca 1934 | Rok IV

JAN BAJKOWSKI

Ziemia do odzyskania

Książka o Prusach Wschodnich

Zaczęło się to bardzo dawno. Wówczas, gdy we Lwowie na łamach „Przeglądu Wszechpolskiego“ powstawać poczęły historyczne już dzisiaj, świetne swą polszczyzną artykuły **Popławskiego,** najznakomitsze wzory publicystyki. Wówczas, gdy w bezustannym ruchu pracy redakcyjnej, a przedewszystkiem ośrodka, skupiającego nerwy konspiracyjnej roboty, powstawały wytyczne polskiej myśli politycznej. Jak wielkie szkicowe linje wyglądają dzisiaj słowa, przypominające znaczenie Śląska i Prus, słowa, które po kilkunastu latach stały się już drobiazgowem opracowaniem, przemienionem w materjał składany przez Dmowskiego zwycięskim państwom, szeregiem barwnych chorągiewek, wykłuwających w Paryżu na ogromnych mapach czerwoną linję zachodniej i północnej granicy.

I chociaż front wojenny zabliźniał długim odpoczynkiem rany przebytej wojny — zadane środkami na wskroś nowoczesnemi — w Paryżu następstwem jej stać się miały stare, zwyczajne metody zasadzek i starć podjazdowych, poparte wytrawnemi sposobami dyplomatycznemi, przeciw którym bronić się musiała słuszność praw historycznych i siła żądań chcącego znowu żyć pełnym oddechem narodu.

Z nad stołów konferencyjnych plebiscytem postanowiono ośrodek walki ponownie przenieść w teren; z nad brzegów Sekwany na pobrzeża tysięcznych jezior mazurskich.

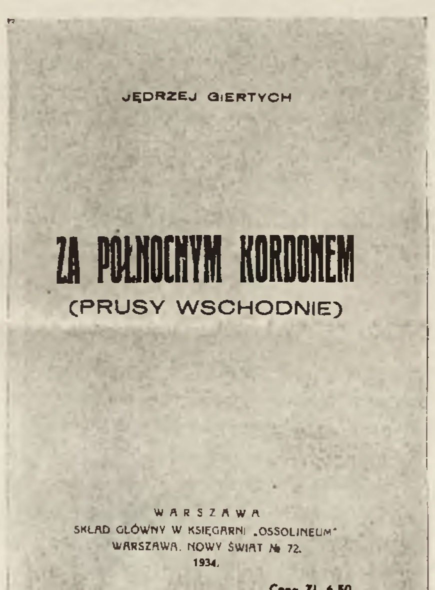
Przeglądamy ilustracje z lat 1919-tych i 20-tych, świadectwa pławiącego się w ciągłym entuzjazmie narodu, gdy każdy dzień życia był okazją do manifestacyj, przynosząc nowe wiadomości o historycznem znaczeniu. Wśród setek transparentów i tysiąców okrzyków widzimy i słyszymy te, które mówią o Prusach Wschodnich.

Szybko przewracamy kartki ilustracyj, szybciej aniżeli rozgrywały się ówczesne wypadki. Oto giną napisy, przypominające o Prusach w nowej powodzi plakatów, oblepiających każdą cegłę muru, wzywających tym razem wszystkich, bez wyjątku, do armji na wielki front przeciw sięgającej już Wisły inwazji bolszewickiej. Cały wysiłek kładziemy z kolei tutaj. Leżąc w szarej, długiej linji okopów, przegrywamy czerwoną linję północnej granicy, wyrywając tamtej, plebiscytowej walce nielicznych ludzi przez nakaz bronienia zagrożonej całości.

Tak się też stało i z autorem książki „Za północnym kordonem“*), który po długich przygotowaniach do akcji plebiscytowej, z nad samej granicy, Tczewa wraca z powrotem, by wkrótce wstąpić do szeregów ochotniczych.

Od czego jednak upór młodych! Tych samych, którzy od czasu do czasu przypominają pogrążonej w zmartwieniach i troskach codziennego życia Polsce manifestacyjnemi okrzykami wyzywające: „Odbierzmy Prusy Wschodnie!“. Przygotowania harcerza, sposobiącego się do pracy plebiscytowej przemieniają się w studja urzędnika Ministerstwa Spraw Zagranicznych, referującego w centrali sprawy wschodnio - pruskie, a następnie, pracującego już i nareszcie w terenie, jako członek służby konsularnej w Olsztynie.

Można być urzędnikiem poprawnym, przychodzącym punktualnie na oznaczoną godzinę do biura, nakładającym na rękawy czarne, satynowe rękawki, wychodzącym potem punktualnie o oznaczonej godzinie do domu, by tam spokojnemi popołudniami oczekiwać awansu ze szczebla na szczebel, ze stopnia na stopień aż do emerytury. Ale można być i urzędnikiem wzorowym, przejętym ideowością swej służby, a wówczas młodzieńczy temperament pcha poza godzinami biurowemi do ludzi, wśród których i dla których się pracuje, każąc wewnętrznym musem odrabiać nienakazane i niepłatne zadania. W tym drugim wypadku, jeśli się zostaje nagle odsuniętym od pracy, zmienia się tylko jej formę.


JĘDRZEJ GIERTYCH

ZA PÓŁNOCNYM KORDONEM

(PRUSY WSCHODNIE)

WARSZAWA

SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI „OSSOLINEUM“

WARSZAWA. NOWY ŚWIAT № 72.

1934.

Cena Zł. 6.50

Z pośród całego szeregu szpalt dziennika, informującego o zdarzeniach dnia codziennego, rozgrywających się w gabinetach, prezydjach, na ulicy, wyrażającego swą opinję o posunięciach, politycznych, wystawach plastycznych, koncertach, teatrze, liczącego wypadki statystyką pogotowia i kroniką policyjną, zawiadamiającego komunikatem o pogodzie, giełdzie i ilości latarni ustawionych gdzieś tam na jakiejś ulicy, obok skrawka poćwiartowanej powieści, przeciskał się od czasu do czasu artykuł, uparcie przypominający o tym **kraju na naszej północy,** podobny owym młodzieńczym okrzykom, przebiegającym od czasu do czasu ulice miasta. Zbiór artykułów urósł w poważny tom zamknięty obszernym rozdziałem p. t. „Bilans trzynastolecia“, czyniący nietylko rachunek sumienia, lecz również wykreślający konkretny plan działania. Jest to nawiązanie do pracy starszego pokolenia, próba montowania tego, co się jeszcze dotychczas scalić nie dało.

Napisać książkę to jeszcze nie wszystko. Nawet taką, która nie jest jedynie wypracowaniem, ale czynnością. Należy ją jeszcze — wydać. Gdzie znaleźć wydawcę, zwłaszcza gdy zawiera niezależny sąd? Zamiar trzeba sfinansować samemu, chociaż się nie ma na to pieniędzy. Poszukiwania odnajdują wreszcie taką drukarnię, która się godzi drukować na kredyt, czas poszukiwania pozwala uciułać kwotę potrzebną na zakup papieru. Autor zdaje sobie sprawę, że na tem wszystkiem cierpieć będzie strona graficzna, co nie jest wcale rzeczą obojętną. Mimo to musi się zdecydować.

Książka poczyna rosnąć. Raz, wraz przychodzą arkusze do korekty, zbyt wolno jak na oczekiwanie młodego temperamentu, szybko jak na drukarnię, która nie dostała ani grosza zaliczki. Ogłasza się przedpłatę. Oczywiście na ulgowych warunkach. Mimo, że autor ma za sobą poważną pracę na temat polityki kresowej, zamówień wpływa niewiele. A pieniędzy potrzeba. Już książka leży w całym nakładzie, nie mogąc się ukazać za szkłem okna księgarnianego, brak jej bowiem mapki, która kosztuje aż — 80 złotych. Znowu dzień schodzi za dniem. Brakuje już tylko złotych dziesięciu!

Wreszcie i one się znalazły. Książkę wzięło na swój skład i rzuciło na rynek „Ossolineum“.

Jest ona pisana w formie feljetonów, stylem jędrnym, mocnym. Oto przykład. Początek pierwszego rozdziału:

> „Banalny obszerny dworzec z czerwonej cegły. Na peronie kilku urzędników o sztywnej postawie i podgolonych łbach. Ostre, twarde dźwięki niemieckiej mowy ze specyficznym, pruskim akcentem. Na murach wyrysowane kredą, hitlerowski „połymene krzyże“ i napis „Heil Hitler“.
>
> Jesteśmy w Prusach Wschodnich.“

A potem:

> „Z dziwnem uczuciem wjeżdża się w granicę tego niemieckiego bastjonu, który się ulokował za plecami Polski, ciążąc, jak bezwładna masa, na wąskim naszym szlaku pomorskim i bezpośrednią bliskością zagrażając samej Warszawie. Jakiż on jest? Jakaż jest jego siła? I jaki jest jego duch? zaborczy czy raczej tylko obronny? A wreszcie — ile waży na szali stosunków żyjąca w tym bastjonie ludność polska?“

I stwierdzenie:

> „Niewiele się w Polsce o tych sprawach wie, — a to co się wie, wie się opacznie. Stosunki w Mandżurji albo w Argentynie znamy akurat tak samo, jak stosunki panujące na ziemi, leżącej tak blisko pod naszym bokiem, że możnaby z niej przy pomocy nowoczesnych armat, strzelać chociażby w plac Saski. To też zwykła wycieczka przeciętnego Polaka do Prus Wschodnich nabiera dlań cech nieomal wyprawy odkrywczej.“

Miejmy tę odwagę powiedzieć i przyznać się do tego. Wybaczmy już tym razem i naszą ciekawość, jaka towarzyszy wzięciu do ręki książki o Warmji i Mazurach, ciekawość wynikającą z nieznajomości tych ziem i ich sprawy. Ale po raz ostatni.

Ktoś kiedyś słusznie zauważył, że odbudowanie państwa **zacieśniło w umysłach ogółu pojęcie Polski do granic obecnych, że przecież przed wojną państwa nie było, a Polska była większa...** Jedno z najtrafniejszych spostrzeżeń, które winno podać rewizji nasz obecny kąt patrzenia. Bliższe są nam dzisiaj wyimaginowane kolonje zamorskie, które kolorujemy na mapie barwą naszej państwowości, aniżeli stolica biskupia Hozjusza i Krasickiego, dlatego jedynie, że się znajduje poza zasięgiem tej barwy. Jest w tem jakieś tragiczne nieporozumienie.

Często w patrjotycznej emfazie deklamujemy o Grunwaldzie, ale gdyby nam przyszło pójść znowuż na to Zielone Pole, obawiam się, że moglibyśmy pobłądzić, gdyż nie każdy potrafi wskazać, gdzie się ono znajduje. Wyjaśniamy, że w pobliżu Olsztynka, Dąbrówna i Niborka. Jeszcze za mało? Dopiero wymienienie Działdowa, które się szczęśliwie znalazło po plebiscycie w naszych granicach, ułatwia orjentację. Tak nie można.

Książka G i e r t y c h a jest, powtarzam, nie wypracowaniem, nie przytłacza tabelami statystyk, różnych „źródłowych materjałów“. To nie teoretyzowanie, nie „książkowanie“, a przejaw wewnętrznej potrzeby działania. To znowu wpinanie w kartę chorągiewek, wytyczających konieczną dla nas granicę północną, tych samych, które z olbrzymich orjentacyjnych stołów konferencji pokojowej zmiotła wbrew ogromnym wysiłkom naszej delegacji decyzja o plebiscycie.

*) Jędrzej Giertych. „Za północnym kordonem“ (Prusy Wschodnie). Warszawa. Skład główny w księgarni „Ossolineum“. Warszawa, Nowy Świat nr. 72. 1934. Str. 239 z mapką orjentacyjną.

W numerze:

NARÓD I PAŃSTWO

Dopełniając rozważania nasze z poprzedniego numeru „Głosu"*) zajmiemy się dziś zagadnieniem: „naród — państwo", „narodowy — państwowy". Otóż na wstępie zaznaczyć należy, że pojęcia te w programie i systemie narodowym mają ustalone miejsce i hierarchję. Mimo tego toczą się na ten temat ciągle dyskusje i spory, i co najcharakterystyczniejsze właśnie w Polsce, a nie gdzieindziej.

Pytanie, jaka jest tego przyczyna?

Najistotniejszą zdaniem naszem przyczyną tego akademickiego sporu jest to, że w Polsce o rządy walczą dwa kierunki: narodowy i nienarodowy, przyczem ten ostatni z braku oparcia o zorganizowany naród polski oparł się na koncepcji państwa nienarodowego, mianując się obozem „państwowym" dla przeciwstawienia się narodowemu.

Stąd wypływa i tu tkwi źródło tego rozdziału „naród czy państwo", który dla każdego nacjonalisty w istocie swojej jest bezprzedmiotowy.

Dlatego mianowicie, że ruch narodowy i myśl narodowa w normalnych warunkach bytu politycznego narodu, w państwie narodowem nie rozróżnia tych dwu pojęć w ten wprost fizyczny sposób, w którym by można sobie wyobrazić, że państwo sobie, a naród sobie.

Ruch narodowy, wychodząc z podstawowych założeń ideologicznych, stoi na stanowisku, że NARÓD JEST TREŚCIĄ A PAŃSTWO JEGO POLITYCZNĄ FORMĄ, że w państwie narodowem, którego treścią jest naród, niemasz miejsca na dwie ideologie: narodową i państwową. Jest tylko jedna — narodowa, w której implicite mieszczą się normalnego narodu instynkty państwowe. Dla nas przeto wyraz — narodowy oznacza równocześnie pojęcie państwowy; inaczej bowiem być nie może, bo to przeczyłoby i biło w podstawy ideologji narodowej. Naród bez państwa, to jak człowiek bez nóg i rąk.

J. E. ks. arcybiskup Teodorowicz symbolicznie powiedział, że państwo bez narodu, to jak świątynia bez Boga.

O ile prawdą niewątpliwą jest, że **pojęcie „narodowy" mieści w sobie nierozłącznie pojęcie „państwowy"**, o tyle nie można powiedzieć o nich odwrotnie. Raz dlatego, że forma nie może być treścią samą w sobie, podrugie, że doświadczenia wykazują, iż kierunki t. zw. „państwowe" wyrastają zawsze na glebie anarodowej. Absurdalność problemu: „naród czy państwo", „narodowy — państwowy", narzuconego nam sztucznie i w konsekwencji anarodowego stanowiska, można doskonale wykazać przez analogję do współczesnych państw narodowych.

Popatrzmy tylko na Włochy i Niemcy. Czy tam istnieją jakiekolwiek spory na temat: ideologja narodowa czy państwowa?

Jedno i drugie stanowi tam całość NIEROZERWALNĄ, przyczem FORMA PAŃSTWA I PAŃSTWO EKSPLOATOWANE JEST MAKSYMALNIE PRZEZ ZORGANIZOWANY NARÓD.

Tamże nie zaginęła bynajmniej zasada suwerenności narodu, którą u nas „neopaństwowcy" (Z. M. N.) usiłują w swoich spekulacjach „pogrzebać". Czas wreszcie zerwać z absurdalnem przeciwstawianiem narodowi państwa.

Kto to dziś czyni, ten nie wyzbył się jeszcze nawyków naszej **niewoli politycznej**, w której przeciwstawienie takie było słuszne, ten nie jest narodowcem i świadomie lub nieświadomie **służy celom obcym**, ale nie narodowi polskiemu. A wobec tego wszystkie próby, czynione ostatnio przez Związek Młodych Narodowców, zdążające w kierunku tworzenia obozu „państwowo-narodowego", są **nonsensem politycznym**, który nie wytrzyma próby życia.

Nie wytrzyma przedewszystkiem dlatego, że rodzi się z **fałszywych** przesłanek, iż w ten sposób uda się dwa w Polsce kierunki, walczące o władzę zepchnąć na jedną płaszczyznę „państwowo — narodową" i sfabrykować „jedność narodową", którą osiągnąć zdaniem prof. Z. Wojciechowskiego tem łatwiej, że obecnie pomiędzy obozem piłsudczyków a obozem narodowym niema tej różnicy, jaką była dotąd polityka zagraniczna.

W tym miejscu człowiek nieuczony a prosty dziwić się będzie, jak można tak **symplifikować problem**, który przecież nie ogranicza się i nie ogranicza bynajmniej do polityki zagranicznej, lecz dotyczy tak kapitalnej kwestji, jak walki O POLITYKĘ NARODOWĄ I POLSKĘ NARODOWĄ sensu largissimo.

W związku z tem ciśnie się pytanie z jakiej racji wszczęto tę absurdalną akcję polityczną ze strony przywódców Z. M. N.?

Członków zwykłych narazie nie wtajemnicza się w te „państwowo - narodowe" koncepcje, przeważnie na łamach popularnego tygodnika „Czuwamy" uprawia się względem obecnego reżimu jak dawniej opozycję, widocznie dla zamydlenia oczu, a równocześnie w piśmie programowem idzie się całą parą na „współpracę".

Z wywodów p. prof. Z. W. można wnioskować, że akcja ta płynie z niewiary w możliwość rewolucji narodowej w Polsce, gdzie jego zdaniem taka rewolucja już się odbyła.

Ma nią być rewolucja majowa i to tylko dlatego, że dokonali jej t. zw. kombatanci (we Francji kombatanci — socjalistyczni też dążą do rewolucji). Równocześnie z tem autor wyraża wielką obawę przed decydującą rozgrywką kierunku narodowego i anarodowego.

Zatem wszystkie te pomysły płyną z obawy przed rozstrzygającą bitwą, której usiłuje się uniknąć w imię „jedności narodowej". Wyznać musimy, że niemasz bardziej błędnej drogi do konsolidacji narodowej, jak ta, o której wyżej była mowa.

Bowiem zjednoczenie narodowe, całkowita unifikacja moralna i polityczna z ich konsekwencjami we wszystkich dziedzinach życia narodowego, nie nastąpi w żadnym wypadku przez ten pasywizm, jaki wyrażają poprostu naciągane koncepcje polityczne.

Trzeba wreszcie zdać sobie sprawę z tego, że zdrowym ośrodkiem krystalizacyjnym dośrodkowym jedności narodowej nie może być **jakaś niedorzeczna formuła kompromisowa** „państwowo-narodowa" pod „szyldem raczej państwowym" (ze względu na rusinów, którzy nie są tacy źli nierozsądny jak się wydaje), ale jest i będzie nim silny ideowo, odrodzeńczy i atrakcyjny ruch narodowy.

Werbalne i formalistyczne czysto formułki, czy szyldziki zagadnienia tego nie rozwiążą.

Widząc tego rodzaju próby przypomina się nam ostatnia konferencja rozbrojeniowa, która głowiła się nad wyszukaniem jakiejś formuły kompromisowej, rozwiązującej problem pokoju świata, przyczem każda z delegacyj dążyła do tego, by ta szczęśliwa formułka nie obowiązywała jej państwa lub żeby conajmniej uniemożliwiła „pokojowe wykiwanie" ewentualnego przeciwnika.

Jeżeli wierzymy i stwierdzamy, że OŚRODKIEM KRYSTALIZACYJNYM JEDNOŚCI NARODU MOŻE BYĆ TYLKO RUCH NARODOWY, to fakt ten nie wyklucza bynajmniej, iż w pewnym momencie w tym ruchu znajdują się ci prawdziwy narodowo czujący i uczciwi piłsudczycy.

Wierzymy zresztą, że to wcześniej czy później nastąpi, ale w atmosferze bohaterskiej walki, a nie zgniłego kompromisu. Nastąpi zaś tem szybciej im prędzej zrozumieją, że dziś toczy się walka nie o Polskę tej czy innej osoby, ale o POLSKĘ NARODOWĄ. Wierzymy w prawdę paradoksu, że dziś tylko walka zjednoczy wszystkich pod jednem sztandarem.

Gardzimy kompromisem, który przedłuża tylko stan chorobowy, jak go przedłuża i utrzymuje na powierzchni kompromis B. B. W. R.

Czyż lepszym byłby t. zw. „Obóz państwowo - narodowy"?!

Jeżeli głęboko wierzymy w słuszność naszej postawy, to wiarę tę potwierdzają fakty, których tu taić nie będziemy.

Należy do nich niesłychanie cenny i znamienny objaw, że gdy Z. M. N. dokonał secesji z obozu narodowego, wówczas ci piłsudczycy ideowcy, a nie macherzy polityczni, ocenili ten krok, jako wielki błąd polityczny i moralny, stojąc na stanowisku, że osłabia on obóz narodowy, który i ich zdaniem jest **nadzieją i przyszłością Wielkiej Polski.**

I dziś rozumiemy lepiej niż kiedykolwiek tę negatywną ocenę ludzi, stojących formalnie po innej stronie, ale emocjonalnie z nami.

Ostatnie przesunięcia na widowni politycznej „na lewo" świadczą najdobitniej komu było potrzebne naruszenie jedności obozu narodowego właśnie w tym czasie, kiedy wszystkie żywioły lewicowe przygotowują wspólny front antynarodowy.

Warto przy tej okazji zaznaczyć naszym „młodym narodowcom", że czas najwyższy zrozumieć, że w polityce łatwiej jest być „wykiwanym" niż „wykiwać" starych graczy politycznych.

Tak się stało ze Z. M. N., który zrobił swoje, na szczęście w minimalnych rozmiarach, ponieważ spotkał się w swej **niesławnej robocie ze zdecydowaną postawą i odprawą zdrowych, zdyscyplinowanych członków obozu narodowego**, którzy godnie stanęli w obronie honoru Obozu Wielkiej Polski, honoru szarpanego dziś przez różnych świadomych i nieświadomych **spekulantów politycznych.**

Jeżeli więc w tej sytuacji „przyszły obóz państwowo - narodowy jest postulatem, programem i racją istnienia Związku Młodych Narodowców", to należy z całą stanowczością stwierdzić, że związek ten nie ma racji bytu i powinien czemprędzej zniknąć z powierzchni życia politycznego.

Na zakończenie stwierdzamy, że, jako jedyni prawowici spadkobiercy O. W. P., stoimy na stanowisku ZDECYDOWANEJ BEZKOMPROMISOWEJ WALKI O POLSKĘ NARODOWĄ. WALKI BEZWZGLĘDNEJ, OPARTEJ JEDNAK O WYSOKI TON IDEOWY I ETYCZNY. Wierzymy niezłomnie, że TAKA POSTAWA JEST NAJMOCNIEJSZYM ŹRÓDŁEM KRYSTALIZACJI JEDNOŚCI NARODOWEJ I NAJPEWNIEJSZYM GWARANTEM OSTATECZNEGO ZWYCIĘSTWA

Jan Rus.

*) Jan Rus, „Próby wprowadzenia zamętu", nr. 11 „Głosu".



S. Zgaiński — Kuter rybacki

STANISŁAW STATKIEWICZ

List

Z poza mgieł wspomnień, chmur rozpaczy,
Pędzonych w przestrzeń zimną, nagą,
Wciąż mi ta Twoja twarz majaczy,
Owiana smutkiem i powagą.
Wciąż się Twe na mnie patrzą oczy,
Takie posępne, takie łzawe.
A potem słychać śmiech półdziki,
Jakieś mi w oczach iskry krwawe,
A potem ciemno nic nie widać.
Jeno gdzieś tłuką się rozpacze.
Słyszysz? Nie przejmuj się tem zbytnio.
To nic, to tylko serce płacze.

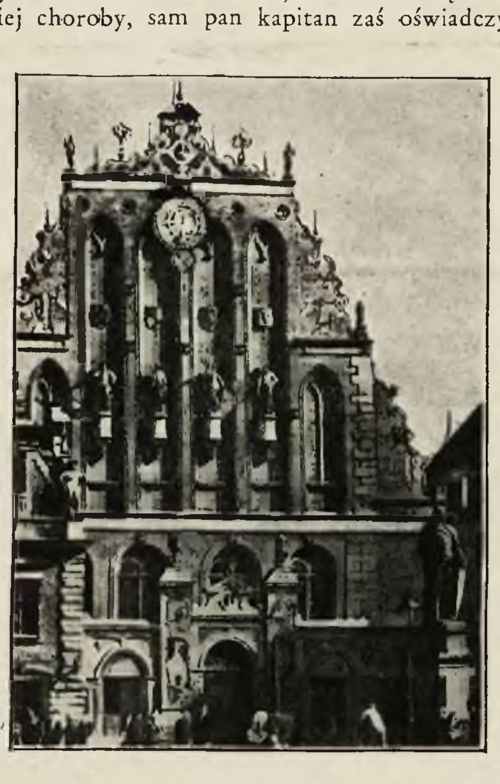
DR. LUDWIK JAXA BYKOWSKI

Z wycieczki morskiej do nowych państw nadmorskich

W pełni uznaję zasadę, by „pracując na lądzie odpoczywać na morzu" tem więcej, że przytem łączy się „utile cum dulci". Dlatego też od szeregu lat w czasie wakacji obok różnych wycieczek wewnątrz kraju wybieram się i na morze. Oczywiście na polskich statkach, co zresztą wcale nie jest jakimś poświęceniem, gdyż, znając i zagraniczne linje, bezstronnie mogę stwierdzić, że na naszych statkach wcale nie gorzej, a owszem przyjemniej, weselej i serdeczniej. Poznałem trzy z naszych pasażerskich okrętów: „Polonję", „Kościuszkę" i ostatnio mniejszą „Warszawę", zaznajomiłem się z trzema komendantami. Każdy inny, a przecież prócz cech wspólnych dla dowódcy statku, każdy z nich przedstawia cenne swoistości, jakich nie widziałem zagranicą. Czyż to nie charakterystyczne wyznanie kapitana P., iż usilnie stara się o przeniesienie na statek towarowy, bo na pasażerskim zbytnio zżywa się z niektórymi przynajmniej z podróżnych tak, że rozłąka z nimi po powrocie do Gdyni zbyt mu jest przykra. Ale i odwrotnie nasi kapitanowie z pewnością zostają w trwałej i miłej pamięci u wycieczkowiczów, a zacieśnia te węzły przebycie choćby krótkich chwil groźniejszych podczas burzy, gdy widzi się ich czujność i poświęcenie.

Urządzenia na statku zapewne nie tak bogate, jak na zagranicznych transatlantykach, ale wcale wygodne i miłe zwłaszcza, jeśli się wybierze kabinę zewnętrzną. Karność i porządek wzorowe, wikt obfity i urozmaicony, bezwzględnie lepszy, jak i usługa niż na wielu zaranicznych. Miałem możność odbycia podróży na „Polonji", gdy była jeszcze duńską, i później za czasów polskich i z radością stwierdziłem postęp pod każdym względem. Nawet troska o stronę duchową w postaci bibljoteki oraz przeróżne zabawy i rozrywki znacznie większa, niż za czasów duńskich. W czasie naszej podróży tygodniowej w każdy wieczór, spędzony na falach pełnego morza, odbywały się dancingi, ponadto mieliśmy uroczystość w dniu Święta Morza, wesołe przedstawienie, zabawę towarzyską z nagrodami i dyplomami, wreszcie jeden poważny odczyt naukowy. Warto też wspomnieć o pięknym zwyczaju odprawiania mszy na statkach polskich, o ile znajdują się księża wśród pasażerów, zwłaszcza głębokie wrażenie robi takie nabożeństwo na pokładzie podczas silniejszego falowania.

Zapewne, jak wszędzie, tak i tu są malkontenci. Temu zawczesna pobudka o godzinie 7, tamten wolałby mieć zupę w południe, a nie angielskim zwyczajem pod wieczór, ów żali się na monotonię owocową, bo przecie jabłka ma u siebie w domu, gdy jednak podadzą banany, znów się krzywi, bo nie znosi ich zapachu. Tej pasażerce kąpiel była dziś za chłodna, a wczoraj za gorąca, tamta niezadowolona ze stuartessy, gdyż nieodpowiednio suknię wyprasowała, czy nie przewietrzyła kabiny, znów inna jest w złym humorze, bo któryś ze studentów pragnąłby burzy dla wzmożenia wrażeń, a ona boi się morskiej choroby, sam pan kapitan zaś oświadczył,



Kamienica „Czarnogłowców", gdzie zawarto traktat ryski.

że „morze jest nieprzyzwoicie spokojne", może więc wywołać wilka z lasu. Żalów takich nie można brać na serjo, podnoszą je pesymiści zawsze i wszędzie skwaszeni, zdaje się w swem narzekaniu widzący cel swego życia, albo też są miłem dla innych uzupełnieniem wrażeń podróży morskiej i przedmiotem obserwacyj dla praktycznego psychologa.

Pierwszy etap podróży Ryga, stolica Łotwy. Znam ją z przed lat 12, kiedy to miałem cykl wykładów dla polskiego nauczycielstwa w Łotwie. Mimo to chętnie odświeżam dawne wspomnienia, oglądając zabytki historyczne, między któremi też parę polskich, jak owa podkowa obok okna na drugiem piętrze jednej z kamienic na Kałkówce, przypominająca wjazd Batorego. Nb. Rosjanie przekształcili legendę, wiążąc ją z Piotrem Wielkim. W ciągu lat dwunastu zmiany niewielkie, usunięto rumowisko wojenne, ten i ów budynek odnowiono np. teatr, w którym ogłoszono niepodległość państwa, a którego zielony dach bolszewicy w czasach swych rządów przejściowych pomalowali na czerwono, obecnie zaś pokryto nowym naturalnym cynkiem. Oczyszczono też „Rolanda" przed domem „Czarnogłowców", którego również bolszewicy na czerwono polakierowali. Zresztą stolica Łotwy niezbyt się zmieniła i stosunkowo znacznie mniej rozbudowała, niż nasze większe miasta. Widać, że kraj mniejszy i uboższy.

Oczywiście nie pomijam okazji, by zorjentować się w stosunkach kolonji polskiej. Jest wcale liczna, młodzież polska zapełnia polską szkołę powszechną w liczbie ponad 500 i gimnazjum koedukacyjne, liczące około 200 wychowanków. Oczywiście odwiedzam oba zakłady, mieszczące się w budynku blisko wieży prochowej. Niestety z powodu ferji, w tym roku nawet przyspieszonych, nie zastałem ani znajomej kierowniczki, ani nikogo z grona nauczycielskiego. Natomiast przybycie naszej „Warsza-

O izolację żywiołu żydowskiego w Polsce

W ostatnich czasach zagadnienie żydowskie*) w Polsce budzi większe niż kiedykolwiek zainteresowanie, stało się ośrodkiem ożywionej dyskusji, a próba jego rozwiązania punktem krystalizacyjnym programów politycznych i podstawą działalności różnych ugrupowań.

Zagadnienie żydowskie nabrało zatem na aktualności, jakkolwiek nigdy nie schodziło z płaszczyzny rozważań i akcji ruchu narodowego, który jego rozwiązanie uważał zawsze za integralną i bardzo ważną część swego programu. Tę wzmożoną aktualność przypisać należy w pewnej mierze wpływom zewnętrznym, szczególnie przykładowi Niemiec hitlerowskich, przeprowadzających na wielką skalę i w sposób niezmiernie radykalny program antysemicki. Czynnika tego — mianowicie wpływów zewnętrznych — nie należy wszakże przeceniać, jakkolwiek przyczynił się on do przyspieszenia procesu dojrzewania w świadomości narodu polskiego potrzeby rychłego rozwiązania problemu żydowskiego.

Bez przesady można powiedzieć, że antysemityzm jest tak stary, jak historja Żydów, zwlaszcza od nastania ery chrześcijańskiej, gdy Żydzi rozproszyli się po wszystkich krajach Europy. Widocznie istnieją w ich naturze, w ich odrębności charakteru i obyczajów elementy, budzące niechęć, a nawet często nienawiść społeczeństw aryjskich, co utrudnia zgodne współżycie przybyszów z tubylcami. Historja notuje bezustannie krwawe porachunki z Żydami, pogromy, wydalanie z granic krajów poszczególnych itd.

Do państw najbardziej tolerancyjnych wobec Żydów należała Polska przedrozbiorowa, czemu przypisać musimy w dużej mierze wysoki odsetek ludności żydowskiej w Polsce współczesnej. Dzisiaj też patrzymy niezmiernie krytycznie na tolerancyjną wobec Żydów politykę dawnej Rzeczypospolitej, idącą w parze z zaniedbaniem interesów mieszczaństwa polskiego, które broniło się wszystkiemi siłami przed napływem Żydów, jednak, jak wiemy, bezskutecznie.

Świadomość błędów popełnianych w przeszłości i — niestety — popełnianych jeszcze obecnie przez obóz polityczny, który decyduje w Polsce, nakazuje narodowej myśli polskiej opracować i wcielać w życie program stopniowego i konsekwentnego wypierania Żydów poza nawias życia państwowego, kulturalnego i gospodarczego Polski, zredukowania ich liczby i wpływów, a w końcowym etapie — pozbycia się ich wogóle z granic naszego państwa.

Zgóry wykluczamy możliwość asymilacji Żydów z rdzenną ludnością polską. Program asymilacyjny, który przed kilkudziesięciu laty wysuwany był przez pewne koła, okazał się chimerą i nie odpowiada potrzebom i pragnieniom, ani społeczeństwa polskiego ani nawet żydowskiego, które wyraźnie odczuwa i podkreśla na zewnątrz swą odrębność etniczną i chęć jej utrzymania. Należy też ostro występować **przeciwko próbom zacierania granicy między społeczeństwem polskiem a żydowskiem**, zwłaszcza przeciwko ubolewania godnym, na szczęście jednak dość rzadkim, małżeństwom mieszanym polsko - żydowskim.

Mentalność żydowska jest nam **obca** i powinna nią zostać. Polak inaczej patrzy na świat i ludzi, inne ma kryterja myśli i uczuć, do innych dąży ideałów, niż Żyd. Nie chcemy zgodzić się na wypaczenie linji rozwojowej ducha narodu polskiego wskutek infiltracji składników obcych, niczem niezwiązanych z naszym rodzimym wysiłkiem twórczym. Dlatego razi nas plon literatury „polsko - żydowskiej", dlatego bolejemy nad inwazją na parnasie literatury takich „asów", może zdolnych, utalentowanych, ale nam w i**stocie** obcych, jak Tuwim, Lechoń, Słonimski i inni. Nie są oni niczem innem, niż Żydami odczuwającymi i myślącymi po żydowsku, a piszącymi po polsku. Ten rodzaj literatury powinien być uznany za obcy, czem jest w istocie, nie powinien mieć wpływu na naszą własną twórczość kulturalną. Obowiązkiem naszej krytyki literackiej i związków pisarzy jest traktować tych literatów jako żywioł obcy i wyciągnąć stąd wszystkie konsekwencje, a kulturalny ogół polski powinien starannie unikać zetknięcia z literaturą żydowską, która szerzy poglądy i operuje pojęciami, nieodpowiadającemi naszym potrzebom duchowym.

W prasie narodowej, zwłaszcza w „Kurjerze Poznańskim", który w cyklu czterech artykułów sprecyzował zasady naszego programu w kwestji żydowskiej, wysunięto słuszny postulat ODEBRANIA ŻYDOM, ZAMIESZKUJĄCYM POLSKĘ, PRAW POLITYCZNYCH. Traktowani byliby oni jako cudzoziemcy, stale czy przejściowo w Polsce zamieszkali: nie mogliby zatem zajmować urzędów państwowych i samorządowych, brać udział w wyborach, służyć w armji itd. W ten sposób wyciągniętoby konsekwencje prawne ze stosunku faktycznego i uczuciowego Żydów do narodu polskiego, który przejawiał się tak często w zupełnej obojętności na jego losy, a niekiedy wychodził wprost na zdradę naszych interesów. Nie potrzebujemy podkreślać, że tak ujęty program załatwienia problemu żydowskiego z punktu widzenia prawno - publicznego znajduje w kołach młodego pokolenia narodowego przyjęcie bez zastrzeżeń.

Udział Żydów w zawodach wolnych: w adwokaturze, wśród lekarzy itp. przekracza niewątpliwie bardzo znacznie normy, wynikające z siły liczebnej żywiołu żydowskiego w Polsce. Napływ ich do wyższych uczelni jest żywiołowy. Zarówno w szkołach wyższych, jak i w udzielaniu możności wykonywania praktyk adwokackich czy lekarskich powinien być zastosowany NEMERUS CLAUSUS w proporcji odpowiadającej liczebności żywiołu żydowskiego. Należałoby pójść jeszcze dalej i ograniczyć czynności do **świadczenia usług wyłącznie klienteli żydowskiej, a zabronić jej kontraktu zawodowego ze społeczeństwem polskiem.**

Osobny a bodaj najważniejszy rozdział stanowi dziedzina życia gospodarczego, w której Zydzi zdobyli największą przewagę i gdzie najtrudniej będzie ich wyrugować.

O sprawach tych, wymagających szerszego uwzględnienia, będzie mowa w następnych rozważaniach na temat zagadnienia żydowskiego w Polsce.

(mch.).

*) Artykuł ten jest drugim z cyklu artykułów w kwestji żydowskiej. Pierwszy p. t. „Groźne ognisko chorobowe" ukazał się w nr. 11 „Głosu".

DR. KAROL STOJANOWSKI

Chłop a państwo narodowe

II. Chłop jako czynnik i materjał polityczny*)

Już od czasów rozbiorów wierzy się w Polsce, że „chłop potęga jest i basta". Od czasów kościuszkowskich wiara ta jest powszechną. Opanowywała ona salony literackie i polityczne, przepajała literaturę piękną, społeczno - polityczną i historyczną. Wiara ta leżała u podstawy wszystkich poczynań politycznych, bez względu na to, czy chciały one budować pracą organiczną, czy też walczyć powstańczym orężem. Około chłopa owijała się w tym czasie nietylko myśl narodowa i konstruktywna, ale też i myśl, mająca wrogie w stosunku do Polski zamiary. Nic tedy dziwnego, że około sprawy chłopskiej w Polsce nagromadziło się bardzo wiele pojęć mętnych lub zgoła niebezpiecznych. Zadaniem samodzielnej polskiej myśli politycznej jest zdanie sobie sprawy z istotnej wartości politycznej chłopa polskiego. Żeby to osiągnąć musimy się w pierwszym rzędzie uwolnić od dwojakiego rodzaju suggestyj. Jedna z nich to suggestja, wywodząca się literatury, druga zaś z agitacji społeczno-politycznej ośrodków międzynarodowego radykalizmu społecznego.

Obu tym ośrodkom suggestywnym zawdzięczamy teoretyczne tezy oraz praktyczne pomysły ludowładztwa, skonkretyzowane obecnie w haśle ludowego państwa polskiego. Państwo takie, konieczność i prawo jego powstania, przedstawia się jako jakiś mus socjologiczno - historyczny, uwarunkowany przewagą liczebną naszego chłopa, oraz analogjami historycznemi chłopsko - szlacheckiemi. Zachodzi pytanie czy suggestje te wypływają rzeczywiście z naszych warunków politycznych, czy też są tylko wytworem literatury i doktryn?

Odpowiadając na wysunięte powyżej pytanie trzeba w pierwszym rzędzie podkreślić, że istotnie chłop polski, jak wogóle chłop każdego żywego narodu, jest najistotniejszą podstawą naszego bytu politycznego. Chłop bowiem dostarcza najistotniejszego bogactwa narodowego t. j. ludzi. Nasz chłop pozatem rozszerzył w ostatnich latach bardzo poważnie swoją podstawę majątkową, a co zatem idzie i polityczną. Przecież te dwa miljony hektarów rozparcelowanej ziemi bardzo poważnie wzmocniło chłopskie możliwości polityczne. Poprostu siła i możliwości polityczne przeszła w pewnym stopniu i procencie niejako mechanicznie z rozparcelowanego dworu do wiejskiej chaty. Niemniej chłop nasz jest dziś bardzo daleko od tego, aby odegrał podobną rolę polityczną do roli dawnej polskiej szlachty.

Lud wiejski jako całość sam ze siebie nie może, ani dziś ani w najbliższym czasie wyłonić z siebie rządu państwa. W państwie chłopskiem nie rządziliby chłopi, ale rządzonoby w imieniu chłopów tak, jak to dziś obserwujemy częściowo w Rosji. Wobec tego na „chłopskiem państwie" chłopi polscy nie tylko nie zrobiliby żadnego interesu politycznego, ale spotkaliby się z tem co dziś obserwujemy w Rosji. Rządy w imieniu chłopa umożliwiłyby karjerę elementom, które będą się legitymować krzykiem i frazesem radykalno - chłopskim, niebieskim ptakom wszelkiego rodzaju oraz Żydom. Kiedy myślę o chłopskich rządach, to wyobrażam je sobie jako rządy zorganizowanej kasty pisarzy gminnych.

Walną przeszkodą w zrealizowaniu ideologji państwa chłopskiego jest brak u naszych chłopów tradycyj politycznych. Tradycje czasów Łokietka i częściowo Kazimierza Wielkiego są zanadto odległe, tradycje zaś, skupiające się naokoło ruchu ludowego i premjera Witosa, są o wiele za słabe na to, aby chłopi odegrali rolę przedrozbiorowej szlachty polskiej.

Najważniejszy jednak szkopuł w porównaniu chłopów do szlachty leży nie w tem, że chłopi są politycznie niewyrobieni i nie mają w tradycyj. Ostatecznie przecie taki sam moment przeżywała z początku swej karjery nasza szlachta. Mimo to jednak miała ona możliwości bezapelacyjnego opanowania państwa i rządzenia niem. Nie trzeba jednak zapominać, że szlachta była związaną przynależnością do specjalnej kasty, posiadała specjalne uprawnienia, dysponowała klejnotem szlacheckim, no i było jej stosunkowo mało. Wszystkie te momenty decydowały o warstwowej, czy też kastowej zawartości szlachty jako takiej. Ta zwartość, podtrzymywana nietylko specjalnemi interesami szlachty, ale także samą instytucją szlachectwa, tworzyła ze szlachty jedność, mogącą panować nad dawną rzeczpospolitą szlachecką. Chłopi zaś tego wszystkiego nie mają.

Nieposlednią zaporą dla zrealizowania chłopskiej jedności politycznej jest brak jedności gospodarczej i cywilizacyjnej. Chłopi jako warstwa ekonomiczno - społeczna są w pewnej mierze mitem. Na wsi żyją obok większości małorolnych także chałupnicy i większa własność chłopska. Ten przedział gospodarczy sięga stosunkowo bardzo głęboko w psychikę tej całej masy ludzkiej, którą nazywamy chłopami. Jeszcze większe różnice obserwujemy w dziedzinie kulturalnej. Przecie między chłopem wielkopolskim a Poleszukiem trudno dziś nawiązywać jakąś nić wspólnoty i porozumienia politycznego. Ta niejednorodność cywilizacyjno - polityczna sprawia, że dziś obserwujemy na wsi obok takich ludzi jak premjer Witos i poseł Milik elementy cywilizacyjnie i politycznie bardzo zacofane. Wszystko to sprawia, że idea państwa chłopskiego w Polsce jest dziś nierealną.

(Dokończenie na stronie 7-mej)

*) Pierwsza część drukowana była w nr. 11 „Głosu".

wy", okrętu tak okazałego, „jaki dawno do Rygi nie zawitał", ściąga do przystani rzesze ciekawych, którzy z zainteresowaniem oglądają statek i jego wewnętrzne urządzenia.. Oczywiście dużo Polaków miejscowych, a wśród tych przeważa młodzież. Zaraz po wejściu na brzeg wita mnie dawny uczeń p. W. K. magister naszego Studjum Wychowania Fizycznego, którego na czas ferji zaprosili Łotysze jako instruktora. Jest to chlubnem świadectwem dla naszego Studjum, które i zagranicą wyrobiło sobie sławę i uznanie. Zwiedzamy razem rozmaite osobliwości, na drugi dzień znów odbywam przechadzki w towrzystwie dwu miejscowych harcerzy polskich, zwiedzając nieznane mi partje. Wedle zwyczaju zwiedzam na własną rękę nie wiążąc się oficjalnemi wycieczkami; mogę oglądać wedle własnych zainteresowań, dokładniej, wszechstronniej i... grubo taniej. Uczestnicy wycieczki do Siguldy, zwanej Łotewską Szwajcarją, wrócili całkiem nie zachwyceni. Czy nie było właściwiej zwiedzić niezbyt odległy Kirchholm?

Zresztą w Łotwie po zamachu stanu i „odesłaniu sejmu do domu" niepewność co do przyszłości. Polacy obawiają się, by nie nastąpiły represje w szkolnictwie, utrzymywanem dotychczas przez miasto. Pozatem czuć wzrastającą niechęć do żydostwa, które skorzystało z emigracji Niemców po wojnie i masowo najechało Rygę, leżącą dawniej poza granicą osiedlenia. Zwłaszcza nowa część miasta na północ głównego dworca przepełniona tym żywiołem, przyjętym zrazu gościnnie. Teraz zaś i Łotysze mają ich już nadto.

Z kolei Estonja, nasz sojusznik. Mały naród liczy około 1.100.000 ludzi, więc mniejwięcej tyle, co sama nasza stolica. A przecie musi budzić szacunek. Mimo tyloletniej niewoli nie upadł, nie znikł, owszem wybił się wbrew takim potęgom jak Rosja i Niemcy, obecnie mimo ubóstwa i twardego klimatu stara się ile możności także ekonomicznie uniezależnić. Rozwijają się kopalnie, powstają fabryki. Ale nietylko to.



Warownie Tallinu, osłonięte domkami rzemieślników.

Ten nieliczny naród, w którym niema i od wieków nie było nietylko arystokracji, ani nawet rodzimego stanu średniego, lecz jedynie rzesze ludu i proletarjatu, wykazuje głębokie ukochanie przeszłości historycznej i jej zabytków. Ileż przepięknych budowli średniowiecznych, nietylko kościołów, lecz i świeckich, zachowała obecna stolica Tallin (daw. Rewal). Prócz ratusza i innych późniejszych stylowych domów utrzymały się średniowieczne fortyfikacje znacznie obfitsze niż w naszym Krakowie. A przecież trzeba było je wprost chronić i osłaniać przed władzami rosyjskiemi, pragnącemi narzucić miastu wygląd wschodni.

Walory Estończyków ujawniają się także na polu twórczości artystycznej ludu. Zestawiono około 30 tys. melodyj, 55 tys. podań, 125 tys. przypowieści i 200 tys. pieśni. Z pieśni tych, których bogactwa mogą zazdrościć najbardziej kulturalne narody, stworzył poeta Kreutzberg całą bohaterską epopeję, tłumaczoną na obce języki.

Dziś sztuka i nauka jest w pełnym rozkwicie. Stary sławny uniwersytet w Dorpacie (Tartu), w którym też tylu znanych Polaków czerpało swą wiedzę, jest ogniskiem pracy naukowej. O pędzie do nauki świadczy fakt, że na 100 tys. mieszkańców Estonji przypada 423 osób z wyższem wykształceniem, gdy np. w Niemczech 145. O szerokiem czytelnictwie świadczy statystyka prasy: w Estonji wychodzi około 200 perjodyków. Żałuję, że dla braku czasu nie było mi danem zwiedzenie Dorpatu i jego uczelni, która przed dwoma laty obchodziła 300 lecie swej pracy.

*

Znów inny obraz przedstawia Helsingfors (Helsinki) stolica Finlandji. Po wielokrotnych pożarach systematycznie odbudowany przedstawia się jako piękne i zasobne miasto współczesne. Zabytków historycznych trzebaby prawie szukać w dawnej stolicy Abo, tu dominuje współczesność. I znów inny typ ludzi. Dominowała i dominuje tu zasada „pracy organicznej". Nietylko nie było tam powstań, ale i walki o wolność w okresie rozpadu imperjum rosyjskiego były mniejsze, niż gdzieindziej. Współdziałali tu Niemcy, sympatje też ku nim i dziś występują nietylko u Szwedów, stanowiących równouprawnioną mniejszość, lecz i u Finów. O pokojowym temperamencie ludności świadczą nietylko dawne nazwy ulic, lecz zachowany z całym pietyzmem pomnik cara Aleksandra II. My nietylko posągi poznosiliśmy, ale rozebraliśmy cerkwie, lub przebudowaliśmy je na kościoły, Łotysze zrzucili spiżowe postacie, ale zachowali cokoły nawet z dawnemi napisami. Estowie zachowują historję czy została po Szwedach, Hanzie, czy Piotrze Wielkim, Finlandja utrzymuje na honorowem miejscu, zdobi kwiatami, jak dawniej, może tylko dostosowuje do potrzeb teraźniejszości.

*

Jeszcze jedno. Na statku spotkałem wycieczkę techników lwowskich. Odbywali drugą podróż, bo przedtem zwiedzili Sztokholm. Imprezę zorganizowali i przygotowali sami, mając tylko poparcie i polecenia swych profesorów i władz akademickich. Jechali sami w liczbie 20. Wszędzie oczekiwali ich studenci miejscowi, nierzadko w towarzystwie profesorów i inżynierów, oprowadzali ich i pokazywali przeróżne interesujące ich urządzenia techniczne. Na statku spędziliśmy razem nie jedną miłą chwilę razem, pod koniec nawet fotografowaliśmy się wspólnie, na lądzie wobec odmiennych zainteresowań szliśmy rozmaitemi drogami.

Z Poznania spotkałem tylko jednego studenta, parę wycieczek lądowych zrobiliśmy razem. Ale on wybrał się luzem. A może Poznańczycy zachęceni przykładem Lwowian wybraliby się zbiorowo, nie zacieśniali się do swej dzielnicy. Przypuszczam, że Polskie Transatlantyckie Towarzystwo Okrętowe przyznałoby również ulgi i ułatwienia. Ale trzeba wcześnie o tem pomyśleć i przez rok coś zaoszczędzić na wakacje.

CZESŁAW PILICHOWSKI

Tytan z nad Gopła a idea narodu

Rzecz o Janie Kasprowiczu

(Artykuł dyskusyjny)

„Boć mądrzy nie umirają
Jako szaleni mnimają,
A po śmierci prawie żywią,
Ludzi sządząc nauką swą".

Biernat z Lublina „Żywot Ezopa" w. 3129—33.

Ogarnąć umysłem świat cały, zrozumieć każdą cząstką duszy człeczej, wyjść myślą z nieobjętych obszarów ziemskości, — nawet dla genjusza wyda się niemożliwością. Stąd poeci skupiają swe idee wokół jednej zagadki, stąd ich poezja jest walką o jedną dziedzinę, ogólnoludzkiego szczęścia i krążą niczem elektrony około jednego jądra, które rozsiewa cały czar ich myśli i wielkości. W miarę rozumienia i wyrabiania tych pojęć, odsłania się nam głębsza, ogólno - ludzka treść naszej poezji, która często dla współczesnych była tylko odzewem patrjotyzmu, czy może hymnem dążeń powstańczych. W tem zastosować można kryterjum „Stopni prawd" Mickiewiczowych:

„Są prawdy, które mędrzec wszystkim ludziom mówi,
Są takie, które szepce swemu narodowi..."

Tak na platformie prawdy ogólnoludziej dają oni, — Wieszcze narodu — wskazówki i normy postępowania własnemu narodowi.

Nic więc dziwnego, jeśli dla zrozumienia poezji kasprowiczowej, jej ciągłego na nas promieniowania, powiemy, że on jest właśnie takiego genjusza poetyckiego uosobieniem. „W duszy Janka od najmłodszych jego lat żył pierwiastek zbawicielstwa, płomienne pragnienie, aby świat nawrócić, odrodzić żywą siłą twórczego słowa". (M. J. Kasprowiczowa, „Dziennik", 5. IV. 1923) — Gdyż, jak wychodzi Kasprowicz, od duszy swej poprzez duszę ludzkości do duszy narodu, tak znowu oparcie swej myśli wywodzi od ziemi kujawskiej, śląskiej, podhalańskiej aż do Polski i ziemi całej. W ten sposób pojęta jego poezja stanowi piękną całość, jakiej nie spotkasz prawdopodobnie w całej poezji świata. Rozwija się podobna do biegu życia, gdy kieruje się przez trzy stany ewolucyjne: **estetyczny,** kiedy kanonem dlań jest natura; — to okres młodości, naiwności pełen: gdyż, jak dusza dziecinna, dusza poety jest silnie wrażliwa, umiejąca wszystko uczuciowo ogarnąć, czyto będzie miłość, czy nienawiść, czy też tęsknota z towarzyszącem częstokroć przeczuciem śmierci, — a wszystkie uczucia grają silnemi barwami metafizycznemi; — przez **etyczny,** okres zupełnego rozwoju, okres pożaru duchowego, który poetę, podobnie jak św. Franciszka podczas widzenia na górze Alverno, zamieni niemal zupełnie w wyraźne podobieństwo ukrzyżowanego Chrysta; — kończy się przesileniem w poemacie „Ginącemu światu" i prowadzi nas do **religijnego,** — okresu dojrzałości, a zarazem schyłku, cechowanego osłabieniem, a jednak tętniącego życiem, dobiegania do kresu. W tym okresie stwierdzi Kasprowicz, że w religji katolickiej dużo znajdziemy piękna. Dlatego tacy księża — przyjaciele: ks. kan. Hunyzola, ks. bkp. Laubitz, ks. arcybkp. Bilczewski, ks. kan. Nitsch, ks. arcybkp. Sapieha odczuwali, że mimo niepraktykowania obowiązków kościelnych (w ścisłem tego słowa znaczeniu) przez poetę, on „jest im najbliższe ze wszystkich współczesnych twórców nawskroś religijną ludową duszą, że tu jest podstawa, na której mogą się porozumieć" (Dz. 10. V. 1926). Nietylko oni doszli z nim do porozumienia poprzez tę subtelną budowę duszy ale sam poeta, — on, z którym w tym okresie „Pan - Bóg staruszek" łaskawie gawędzi, niemal jak wieśniak z wieśniakiem; do tej swobody przyjacielskiej doszedł, jak Zegadłowicz, dzięki zdradzeniu Wielkiej Tajemnicy — Boga, przez „najlichszą trawę, przy drodze rosnącą".

II.

Czyż radość i zadowolenie wewnętrzne czerpał ktokolwiek z ludzi ze świata? — Chyba nikt, raczej każdy je ze siebie wkłada w otaczający nas świat. Wtedy, głosi L. Staff, rozkwita w całości człowiek, dla którego droga żmudna i długa, ujawniająca się w ciągłej pracy nad sobą i doskonaleniu się wewnętrznemu, jest milszą i istotniejszą od samego przybycia do celu. Do tego doszła dusza Kasprowicza, spełniając postulat filozofji romantycznej: objąć **pełnią władz ducha pełnię życia.** Podobnie Bergson pojął życie jako rozwój całości, który dokonuje się przez twórczość wolną, — „jedyny potrzebny mu (t. zw. Kasprowiczowi) do życia dar: — wolność"... (Dz. 21. III. 23) —, czyniąc życie ośrodkiem swej filozofji i, będąc przekonany głęboko, że nie przyczynowość, lecz twórczość jest zasadniczym motorem życia. Nie zadowolimy może w ten sposób ideału logicznego, ale zaspokoimy ideał etyczny i estetyczny życia, gdyż pozwolić sobie będziemy mogli na zmniejszenie, a nawet usunięcie walki o byt z istotnej linji wytycznej życia. Tak w miejsce konieczności wystąpi wolność i twórczość, w miejsce pojęcia o gatunku — pojęcie wszechżycia, w miejsce walki o byt — pęd ducha w nieskończoność, nie odmawiający ideałowi prawa życia, lecz przy tem uznając jego związek z **wyższem** życiem, któremu, — temu religijnemu pędowi sprzeciwia się czysto logiczna, utylitarna, podporządkowująca wartości wyłącznie życiu przyrodniczemu postawa.

III

A przytem owo poczucie własnej małości: — uboga jesteś w swej treści, tworzył cię człowiek ubogi — (Księga Ubogich); — stawiał ją człowiek prosty; — rzuca cię człowiek ubogi, przyjmują cię ludzie ubodzy; — te słowa poety o „Ksidze Ubogich", owej legendzie ubogich, doskonale oddają istotę jego duszy. Przyzna się nawet poeta, co zanotowała Marysia w „Dzienniku", do **nędzarstwa ziemskiego.** Wszak poeta czuje się niezdolnym grajkiem, biednym i pokory pełnym wobec każdego człowieka. — „Spraw to, ażebym na zawsze umiał dziękować Ci, Panie, że sobie rzępolę, jak mogę, że daję Ci, na co mnie stanie. Z nich się zawsze przyznaję, choć do najskrytszej przewiny i wielką nich czynię spowiedź w obliczu ludzkiej rodziny. I niechaj pomnę w mem życiu, czy w bliskiem, czy też dalekiem, żem człekiem jest przedewszystkiem i niczem więcej, jak człekiem. Spraw wkońcu, bym przy tej kapliczce, obok tej wielkiej drogi



Tablica na szkole powszechnej w Szymborzu, do której uczęszczał Kasprowicz.

klękał i grywał na skrzypcach, wędrowny grajek ubogi", (Mój świat). W tem niejakie podobieństwo upatrywać można między Kasprowiczem — ubogim, a św. Franciszkiem — biedaczyną, który klecąc flet z dwóch kawałków drewna śnił, jak opowiada biograf Cellano, by być grajkiem bożym, niosącym lek dla zbawienia duszy innych i mojej w ginącym świecie.

IV.

Kołaczkowski stwierdził, że początek i zakończenie kasprowiczowskiej poezji są do siebie podobne, lecz różnica leży w stopniu samoświadomości.

Analogicznie zauważa Konrad Górski, mówiąc, że Kasprowicz dąży w swej twórczości do syntetyzowania poszczególnych przeżyć wewnętrznych i stara się oglądać je pod kątem zasadniczych pojęć o życiu. Dla każdej jego idei podobno zastosować można normy. Przecież dla stworzenia idei najwyższej, — Boga, dla wydobycia prawdy życia w jego duszy wieczny toczy się bój dwóch sił: etycznej i fizycznej. Stąd zrozumiałe się stają te ciągłe wahania, ta rozpacz, przeradzająca się w chęć ustąpienia z placówki życiowej, to ciągłe dumpingowanie wiary i pragnienia niewymuszone życia, stworzenie zupełnego człowieka. I tu, jakby przypomina się nauka św. Franciszka do św. Leona, że ponad wszelkiemi łaskami i darami Ducha św., jakie Chrystus daje swym przyjaciołom, leży pokonanie samego siebie i chętne poddanie się woli Bożej. Zyskał ów stopień doskonałości poeta w twórczości swej.

V.

„Mądrość... sam z siebie... własną..." — niech każdy dobywa — „...pracą..." — głosi Mickiewicz. Tą metodą niezawodną dobywał ją Kasprowicz, który w swej poezji daje najlepszy wzór postawy człowieka wobec życia, jego trudów i zmagań; stąd płynie najlepsze uosobienie wielkości i czynu, co zresztą potwierdza szlachetność i świeżość duszy poety. Rozbudza w ten sposób iskrę bohaterstwa w każdym czytającym Polaku, jak dowiadujemy się u St. **Szczepanowskiego,** który żąda od literatury, aby odszukała i rozdmuchała ową iskrę. Wtedy literatura staje się rzeczywistością . Ten postulat realizmu spełnia kasprowiczowska poezja. Dlatego tak jest nam dziś bliska.

I nikt nie powie, że poezja jego, — to może wysuwanie własnego „ja" na plan pierwszy, wyższy ponad wszystko i wszystkich, gdyż jest ona walką o szczęście bliźniego, o wskazanie mu takiej życiowej latarni, za którą postępując, nie zbłądzi po moczarach życia. Wszakże stara się nadać duszy typ myśli wzniosły, tryb życia poważny, stara się zbliżyć nas ku radości i szczęściu, by doprowadzić do źródła wzniosłości, piękna i dobra, jakiem jest oprócz Boga, — ojczyzna.

VI.

Kasprowicz spełniał swoje dziejowe zadanie, nie uświadamiając swoich współziomków o ich przynależności polskiej, bo czuł, że wiedzą oni i pojmują swój obowiązek patrjotyczno - polski. Mówi w jednem ze swych wiekopomnych dzieł **Dmowski,** że znane nam obowiązki polskie stają się większemi i tem chętniej je wypełniamy, im wyższy przedstawiamy typ człowieka. Znajduje myśl ta potwierdzenie w „Rzeczypospolitej" **Platona,** który głosi, że społeczeństwo każde stworzona jest według wizerunku duszy pojedyńczego człowieka swego. Tu tkwi najsilniejsza bodaj postawa Kasprowicza — człowieka, Kasprowicza — patrjoty, Kasprowicza — poety, który, w tym duchu tworząc, uświadamiał swych współziomków o ich dziejowej misji, wskazywał pośrednio na liczne błędy Polaków w epoce staro i nowopolskiej. W tem daje najlepszą narodowi naukę, że między jego dążeniami etycznemi a fizycznemi ma istnieć harmonja, co głosi również St. **Szczepanowski,** zauważając, że w życiu narodowem te dwa odgałęzienia jednego organicznego życia powinny iść razem, „echa moralne i materjalne", serce i rozum. Idzie w tem dalej Kasprowicz, sądząc, że harmonja ta w istocie swej opierać się będzie na woli Boga. Stwierdził ten pewnik także prof. Ignacy **Chrzanowski,** głosząc, że narodowość jest dziełem bożem, a państwo ludzkiem, bo państwo nie celem, ale środkiem, że oprócz ojczyzny politycznej istnieje idealna, serdeczna, której fundamentem jest narodowość, słowem: jeden duch narodowy. Ideę narodowości rozwinął szeroko i głęboko romantyzm, który według **Brodzińskiego** wyniósł ją nawet na wyżynę prawa bożego. Jednak swe przeznaczenie narodowe, które, jak potwierdza St. Szczepanowski jest dla Polaka istotne, gdyż staje się on wielkim i potężnym pod ożywczym wiewem ducha narodowego i myśli obywatelskiej, mamy według woli Kasprowicza sami sobie wytworzyć, a nie dalekonośną lunetą je badać i w ten sposób bez czynu z własnej strony pragnąć może... cudu. I podobnie woła poeta, jak wołał z kart swej poezji **Ed. Wasilewski** do wielkiego, ale znękanego ludu, że cudem dlań jest własne jego ramię, że niema się modlić ani marzyć o cudzie, lecz chcieć, bo chęć przełamie wszystkość. Przecież nie genjusz błaga o cud, by świata więzy rozkuł, lecz przywołał postać anioła, by zwiastował o wielkim zbawieniu.

W ten sposób Kasprowicz łączy w duszy człowieka realizm z idealizmem, które to połączenie według T r e n t o w s k i e g o czyni człowieka całkiem nowożytnym. Wtedy pracuje, zawładnąwszy zupełnie potęgą przyrody i posiada w duszy swej wyryte poczucie obowiązku i sumienia, zasadnicze cechy człowieka cywilizowanego. I słusznie, bo, jeśli posłużymy się historją to zobaczymy, że w Polsce panował duch organizowania państwa na poczuciu o b o w i ą z k u, nie przymusu, w o l n o ś c i, nie dobrej woli. Podobny typ człowieka według Kasprowicza zawsze pozostanie sobą, zawsze potrafi okazać własną postawę wobec życia, nie ugnie się przed niczem i nikim, „nawet wtedy jeszcze, gdy obloką go w czarne szaty, lub przykryją togą, naciągnąwszy na nogi białe pończochy. Tak, nawet wtedy. Żywotnym może być tylko naród, który ma w sobie to dążenie. My Polacy w małym niestety posiadamy je stopniu." (Dz. 17. IX. 1912). Dlatego dla poety **możliwość kompromisu stałaby się „klęską, garszą od śmierci".** (Dz. 10. V. 1922).

VII.

Problem żywotności narodu jest jedną z głównych idei narodowych poety. I słusznie. Wszakże F i c h t e najdowodniej wykazał, że tylko ten naród, który ma zdolność i odwagę stanąć na wysokości swego zadania historycznego, czyni się niezwyciężalnym. Tu znowu poeta posługuje się niejako metodą indukcyjną, wywodząc swe idee narodowe od pojęcia ludu, gdy uznaje lud za integralną cząstkę narodu. Czyni tak i D ę b i c k i: dzisiaj stanęliśmy na granicach dwuch światów: kończącego się „chłopskiego", a rozpoczynającego się świata **„ludu polskiego"** w Polsce odrodzonej. **Lud stanowi fundament narodu** i żywe wiecznie źródło jego rozwojowych sil. **Lud przedstawia w sobie najczystszą rasę polską.** Zatem w nim skupiły się wszystkie cechy naszego charakteru narodowego. Właściwie niema w tem nic nowego, gdyż już L i b e l t początki filozofji, a raczej jej pierwiastki odnosi do pojęć i wyobrażeń l u d u, filozofję i oświatę jako formy pochodne wywodzi z **umysłowości ludu.** Przyjmując to ich źródło, musimy przyjąć ich narodowy charakter. Bo „tylko w masach ludowych wiwidzimy rzeczywiste, plemienne, narodowe ich różnice, a w oświeconych klasach niejako amalgamację i zacieranie się znamion plemienno - narodowych. Narodowość leży naprzód w plemienności, a potem dopiero w oświacie. Narodowość plemienna w ludzie jest więc wyższa, płodniejsza, wyrazistsza, niżeli w oświeceńszych klasach, z czego wypada, że i w jego pojęciach i wyobrażeniach musi być wyraziste, żywe i płodne tejże narodowości znamię".

Do tego poglądu przychyla się Kasprowicz. Bo, uznając **lud** za **integralną i fundamentalną cząstkę narodu,** walcząc o jego prawa, walczy zarazem o prawa Polski, o prawa narodowe. Potwierdzenie tej myśli znajdujemy we własnych poety słowach: „Żeby nie nasi paskudni ludowcy, przyłączyłbym się do tej Polski ludowej, aby stworzyć prawdziwą Polskę bohatersko - ludową". (Dz. 3. IV. 1922) Wszakże Kasprowicz początkowo stanął w solidarnym szeregu społecznym z tłumami pracujących i wydziedziczonych. Dopiero później to uczucie solidarności klasowej zamieni się na poczucie solidarności z wszechstworzeniem, dążącem do włączenia boskości w życie, a radość wyzwolenia w śmierć. Ta wola wielkości etycznej narodu staje się jego genjuszem. Wyznaje poeta, że stale powoduje się Polską, bo „chodzę i wciąż myślę o jednem, — o Polsce . Potrafiłbym się wyrzec wszystkiego... ciebie... dzieci... niech tylko będzie Polska". (Dz. 9. XII. 1914) To jego pragnienie zmartwychwstania Polski, scalenia narodu jakże jest silne! Nie potrzeba komentarzy.

VIII.

Mimo wszystko powie ktoś: on z ludu, czemuż niema o swój lud walczyć? Nie! Bo zabieganie o własne podwórko byłoby niczem innem, jak tylko przyjęciem jednej warstwy, jednego nieomylnego „ona" i utożsamieniem tej warstwy, czy grupy politycznej z całym narodem, gdy tworzy go wszystkość, bogaty czarnoziem i ubogie piaski, mowa, klimat, błękit nieba polskiego, krew i serca rytm. Jak śpiewa Wyspiański: Polska to serce gorące, co puka. Z Polski tej, jak czytamy we „Weselu", „podłość trza odrzucić precz, Polska to jest wielka rzecz"!

Zresztą przekonaliśmy się już, że poeta cały swój pogląd na lud opiera na jego kulturze starej, nienadgryzionej ani zębem czasu ani wpływami obcemi. Zasady tej starej, zwyczajowej kultury ludowej, — „rygor zwyczajowy we wsiowej krainie, — pisze Zegadłowicz, — to nie byle co! — To wszystko! — To miara cnót i przewin, dobrego i złego prowadzenia się, mądrość i głupoty" (godzina przed jutrznią) — stanowić mają według Kasprowicza **podstawę twórczości narodowej,** jak stanowiły u Libelta filozofji narodowej. Z ludu więc mają wyjść pionierzy jej, którzy swe zamiary i swą siłę ducha czerpać będą ze ziemi.

Podobnie głosi Zegadłowicz: **chłop i poeta tworzyć mają legendę ziemi.** A ich związek z ziemią, z Polską niema być „filozoficznie odnajdywany, ale ustrojowo odczuwany", ma to być „związek z ziemią tą", z której wyszli „a nie z inną" (Przybyszewski o Kasprowiczu).

(C. d. n.).



Pomnik Kasprowicza w Inowrocławiu.

WITOLD NOSKOWSKI

Prasa, teatr i publiczność,

czyli: czeki bez pokrycia

Szanowna Redakcjo!

Z zaciekawieniem czytam artykuły, jakie „Głos“ poświęca sprawom kulturalnym. Widzę w nich pocieszający zwrot młodego pokolenia ku ważnym pokładom myśli, które doniedawna były omijane. Pozatem obchodzą mnie one zawodowo, tak jak np. ostatnie uwagi o stosunku krytyki do teatru (nr. 11). Czy mogę prosić dla siebie o gościnę w tej dyskusji? Wprawdzie młodość mam dawno, niestety, poza sobą, lecz okazja jest zbyt nęcąca. Jestem dziennikarzem. Dziennik, zajęty rejestrowaniem codzienności, mało ma miejsca na debaty zasadnicze. Dwutygodnik jest w lepszem położeniu gdy idzie o to, aby stanąć, rozglądnąć się i obejrzeć poza siebie. Że jednak łączy się on napewno z dziennikiem w jednej właściwości, którą jest chroniczny brak miejsca, więc postaram się być — jeżeli nie zwięzłym, bo w tak ogromnej materji niełatwo przebrać i wybrać — to przynajmniej fachowym, rzeczowym i zupełnie nie ozdobnym. Byle prędzej, byle dalej.

Nasamprzód trzeba uprzątnąć pewne zasadnicze nieporozumienia co do roli recenzenta i co do stosunku między recenzją a teatrem.

Jest ich mnóstwo. Występują w dyskusjach jako „petitiones principii“. Krążą z ust do ust, niby czeki, idące z rąk do rąk. Bieda tylko, że są to przeważnie czeki bez pokrycia. Zacznę od najbliższego.

„PRASA“?

Z uwag w nrze 11 wydało mi się, iż autor uważa, że prasa może mieć wpływ na poziom i jakość teatru. Że zatem może nim kierować za pomocą krytyki.

Byłoby to może słuszne (powtarzam: może), gdyby istniała jakaś „prasa“. Tymczasem „prasy“ niema. Są tylko recenzenci (nazywani także krytykami, ale ja, jako dziennikarz, jestem recenzentem, zdaję sprawę, piszę sprawozdania).

„Prasa“ istniałaby wówczas, w stosunku do teatru, gdyby wypowiadała jakieś jednolite stanowisko. Dyrekcja wiedziałaby wówczas, czego się od niej żąda i co ma uczynić, lub czego zaniechać (oczywiście gdyby inne okoliczności jej na to pozwoliły).

Przeczytajmy „prasę“ o tej czy innej sztuce. Najczęściej — ile głów, tyle zdań. O aktorach — to samo. Dyrekcja musiałaby postąpić odrazu i tak — i wprost przeciwnie, albo na trzeci sposób, albo na czwarty. Więc postępuje tak, jak uważa za stosowne. A raczej jak musi. Zupełnie ją rozumiem. A „wpływać“ na teatr nie chciałbym w żadnym wypadku. Poprostu dlatego, że wolę nie być posądzony o chęć rządzenia instytucją, za którą jest odpowiedzialny kto inny.

Dyrekcja ponosi za teatr ciężką i wieloraką odpowiedzialność, której z braku miejsca precyzować nie będę, ale łatwo wyspecyfikuje sobie każdy, kto wstawi w rachubę wszystkie czynniki: od autorów do aktorów i do subwencjonujących teatr czynników. W razie wątpliwości — służę szczegółami. Ja, recenzent, nie ponoszę za teatr żadnej odpowiedzialności. Więc od lat trzydziestu czterech pilnie się strzegę nakłaniania drugich, aby czynili takie rzeczy, za które nie ja, ale oni wyłącznie będą odpowiedzialni. Może to przeczulenie etyczne człowieka przedwojennego, wychowanego w bardzo surowej szkole dziennikarskiej „Czasu“? Może. Lecz — bardzo mi żal — przerobić się już nie potrafię.

NOWY CZEK BEZ POKRYCIA.

Wstrzymięźliwość we wpływaniu na kierunek teatru nie jest zresztą wielką cnotą, jeżeli się wie, że i „wpływ“ pośredni, via publiczność, trzeba uważać w ogromnej mierze za mit.

Przez trzydzieści cztery lata nie spotkałem się nigdy, powtarzam: nigdy — z przypadkiem, aby sztuka, jednomyślnie przez „prasę“ okadzana, spotkała się z powodzeniem, jeżeli publiczność jej nie przyjmie. Wpływ recenzji ujemnych, aczkolwiek czasem odczuć się daje, jest także nieduży. Teatr to loterja. Nigdy nie wiadomo, który los wygra i dlaczego? Prorocy nigdzie tak się nie ośmieszają, jak w teatrze. Sukces sztuki, to równanie o samych niewiadomych. Żaden rozumny matematyk do niego się nie weźmie.

Najciekawsze, że ten czek bez pokrycia został wypuszczony nie przez „prasę“, ale przez teatr. Każde niepowodzenie sztuki, bez względu na jego powód jest winą „prasy“. Wiadomo, że sztuka nigdy nie jest nudna, aktor nigdy nie gra źle. Jeżeli recenzenci ganią, to zawsze ma tem jakiś powód osobisty. Prześladują. Znęcają się... Teatr wierzy w to święcie, a tak potrafił wmówić swoją wiarę w publiczność, że dziewięć razy na dziesięć ludzie opowiadają sobie nie o tem, że recenzent tak i tak pisał, ale dlaczego tak napisał?

Dlaczego? Zdawałoby się, że dlatego, iż takie ma zdanie. Gdzie tam! Najczęściej dlatego, że „ma coś w tem“. Jest to metoda tak utarta, że ludzie przechodzą z całą naiwnością nad względami taktu, poszanowania cudzej opinji, nawet nad etyką. Nie zastanawiają się, że człowiek piszący odpowiada za treść swojem nazwiskiem, swoim podpisem, który jest tarczą herbową dziennikarza i najczęściej jedynym jego za wiele lat pracy dorobkiem. „Takie jest moje zdanie“ — powiada recenzent. A plotkarz uśmiecha się: „Gadaj zdrów. Ja wiem, że ty myślisz co innego. A piszesz tak, bo coś w tem masz“.



Ale to sprawa uboczna i bardzo drobna. Idzie mi o to, że legenda o rzekomym wpływie prasy na publiczność urodziła się w teatrze i przezeń jest podsycana. Oczywiście wtedy, gdy sztuka idzie źle. Bo gdy publiczność przychodzi, to zasługę ma dyrekcja, sztuka i aktorzy. „Prasa“, chociażby chwaliła jak najęta, tonie w milczeniu.

Ale gdzie urabia się opinja o premjerze? Mojem zdaniem — przez pocztę pantoflową, z ust do ust. Zrozumiano to w Warszawie, gdzie premjery prasowe odbywają się w kilka dni po premjerach właściwych. Niech poczta pantoflowa ma czas na swoje manipulacje. Teatr, chociaż — majem zdaniem — niewysoko sobie wpływ „prasy“ ceni — woli jednak zabezpieczyć się przed najważniejszem i jednym, czego recenzje mogą dokazać w pewnej niedużej mierze. To znaczy: przed zaszkodzeniem sztuce. Bo to jest w cząstce możliwe.

WIĘC CO? I JAK?

Wszystko to nie uwalnia dziennikarza — recenzenta od jego obowiązku, od zajęcia się teatrem. Tylko że „zajęcie się teatrem“ to znów w wielu wypadkach zwrot, będący czekiem bez pokrycia. Czytałem niedawno wyborne określenie pytań, jakie zadaje sobie przeciętny czytelnik, nim weźmie do ręki recenzję. Jest ich trzy:

— Czy recenzent zerżnął? czy pochwalił? czy się wykręcił?

„Mów do mnie prosto, a z krzykiem“. Nie mam czasu. Chcę rzucić okiem i dowiedzieć się, czy było dobrze, czy źle? Jeżeli nie postawisz dwói, lub czwóry — to wykręcasz się. Rozbiór sztuki? Opis gry? Furda. Cenzurka to grunt.

Na takiem tle zrodził się pewien nieporównany typ recenzji, z której czytelnik nie dowie się ani treści sztuki, ani tego, co autor chciał w niej powiedzieć, gdyż recenzent uważa za najważniejsze nie to, co mówi autor, lecz to, co on, recenzent, o tem myśli. Otóż stopnie, stawiane przeze mnie autorom i aktorom w początkach dzienikarskiej karjery, były pierwszem polem dla harców, jakie uprawiał po moim skrzypcie redaktor ołówkiem. „Dziennikarz — wkładano mi do głowy — ma przedewszystkiem uwiadomić o tem, co się stało. Jego cenne zadanie będzie wypowiedziane ile możności krótko i bez narzucania się. Dobrze?“ Trudno, musiało być dobrze.

Zdaje mi się, że w ten sposób wyrabiał się np. we Francji typ recenzji teatralnej, będącej porówni analizą i egzegzą, obliczonej na to, aby czytelnik jak najwięcej dowiedział się o treści przedstawienia, opinję samą o niem dostając jakby w nawiasie, raczej przez suggestję, niż w banalnej cenzurce. A że „Glos“ zrobił mi ten zaszczyt, iż zajął się moim sposobem opracowania recenzyj, przeto nie pominę okazji do potwierdzenia jego opinji wraz z jej uzupełnieniem. Jako dziennikarzowi idzie mi przedewszystkiem o poinformowanie czytelnika; następnie o to, aby kształt tej informacji był ile możności zajmujący. Bo każdy kawałeczek dziennika powinien być interesujący — to pierwszy obowiązek dziennikarza.

STOPNIE I CENZURKI.

O wydawanie stopni najmniej mi idzie — biję się w piersi. Gruntowną, poważną, wyczerpującą krytykę muszę zostawić — jako prosty dziennikarz — osobom bardziej powołanym. Zawodowym krytykom, których pełne wiedzy i namaszczenia wyroki nie przemijają wraz z trwającym dzień jeden dziennikiem, ale trwają w księgach dziesiątkami lat.

Zawdzięczam im niejedno pouczenie. Tak dowiedziałem się od warszawskiego Arystarcha, Władysława Bogusławskiego, jak nietęgimi aktorami byli ci, których talenty czyniły w swoim czasie warszawskie „Rozmaitości“ jedną plejadą gwiazd. Tak dowiedziałem się od innego Minosa, że Modrzejewska nie ma talentu, i nigdy większych ról grać nie będzie mogła. Tak zostałem przekonany, iż teatralne robótki Kazimierza Zalewskiego będą nieśmiertelne. Tak — idąc dalej wstecz — pouczono mnie, że Fredro jest niepolski, ale francuski. Tak — gdy idzie o muzykę — otrzymałem od znakomitego krytyka, wyroczni Wiednia, od Hanslicka, naukę, że „Tristan“ jest rodzajem delirium tremens wyrażonego muzyką. Może więc nie będzie mi wzięte za złe, że, czując się w swem dziennikarstwie tak malutkim przy potentatach poważnej gruntownej krytyki, wolę ograniczyć się do sprawozdania, o „krytykę“ jak najmniej zawadzając, a za to informować jak najwięcej.

Pewnie — mizerny to zakres działania wobec stosunku do prawdziwej krytyki, która najbardziej roztargnionemu czytelnikowi nie zostawia żadnej wątpliwości co do tego, czy „rżnie“, czy „chwali“. Ale spełnienie obowiązku dziennikarskiego także jest coś dla dziennikarza warte, zwłaszcza gdy opiera się na poczuciu, że czytelnik czegoś się o teatrze dowie i może nie zabardzo przy tem znudzi. Kto wie, może i nauczy się odróżniać pewne odcienia sądów, wyrażanych pozytywnie, pewną skalę określeń i wartościowań, polegającą na opisywaniu rzeczy widzianych i słyszanych w taki sposób, aby czytelnik wyobraził sobie, jakimi one są, nie zaś jakiemi nie są... Wiem, że wszystko, co zaczyna się od „nie“, jest mile widziane, bo ma smak wyrazisty i pikantny. Ale tak już mnie dziennikarstwa uczono, że wolę określenia pozytywne od negatywnych, przyczem jedne i drugie, o ile nie towarzyszy im jakieś uzasadnienie, wydają mi się komunałami, komunałomi równie łatwemi, jak głupiemi.

METODA I CEL.

Ta metoda pozytywnie wartościująca, a unikająca ile się da „krytykowania“, tj. gołosłownej nagany, wydaje mi się stanowiskiem dość możliwem do obronienia, jeżeli idzie o teatr polski wogóle, a pozastołeczny w szczególności. Nie trzeba przypominać, że w wolnej Polsce teatr przestał być jedną z głównych ostoi duchowego bytowania i jedną z twierdz narodowych, a został jedną rozrywką więcej między innemi rozrywkami. Po części wskutek odzyskania bytu politycznego, po części dlatego, iż nasza literatura dramatyczna w niczem naszej współczesności nie oddaje, a przez to odebrała scenie stanowisko zwierciadła obyczajów i nauczycielki życia. Z drugiej strony recenzent nie może nie zadać sobie pytania, czego ma sumiennie prawo żądać od teatru prowincjonalnego, ubogiego tak, jak np. Teatr Polski w Poznaniu, o którym nie wszyscy wiedzą, że ze scen dzielnicowych jest najbiedniejszą i najgorzej przez społeczeństwo dotowaną, że nietylko teraz, gdy został Kopciuszkiem, ale w najlepszych czasach „umiastowienia“ dostawał ledwie cząsteczkę tego, co otrzymywał Lwów, Kraków, nawet Bydgoszcz...

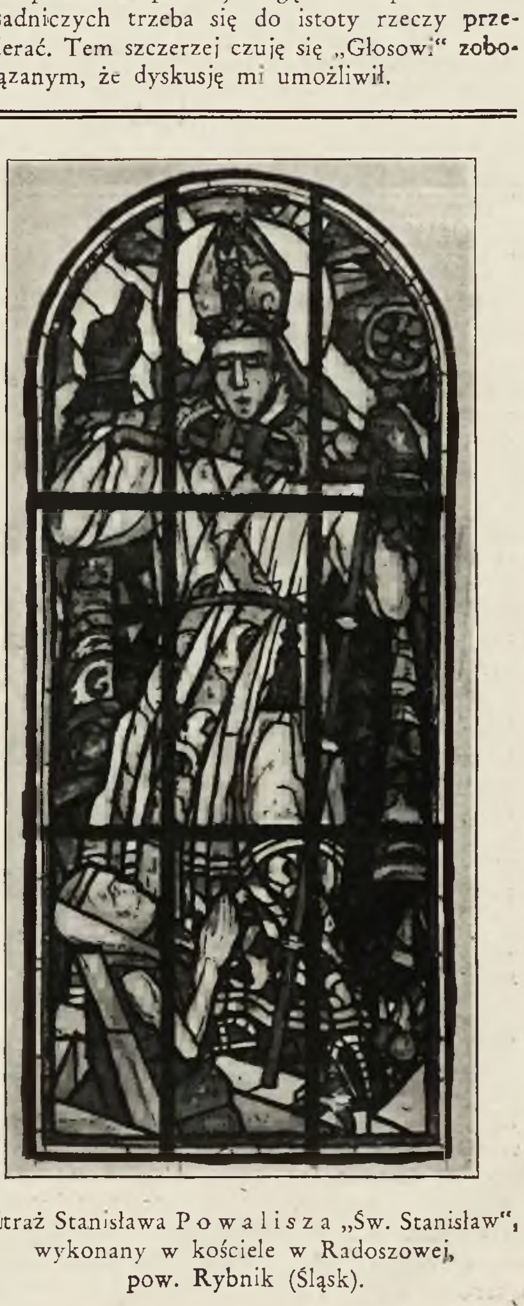
Racją ma „Glos“ gdy powiada, że, przykładając do naszej sceny miarę najwyższą, możnaby niejedno przedstawienie rozpruć od góry do dołu jednem cięciem. Idzie tylko o to, czy byłoby do sprawiedliwem i na co by się praktycznie przydało? Kino, boks, tennis, futbol i pokątne szmiry prowadzą nagonkę na publiczność; równocześnie teatr wogóle stracił siłę przyciągającą zarówno dawną, narodowo - społeczną, jak artystyczną wogóle. Uważam, że w takim okresie jest dobrą i celową robotą raczej widzów do teatru przyciągać, niżeli ich odstraszać, o ile teatr ten zasługuje na nazwę teatru i daje robotę czystą. Teatr Polski w wielu poprzednich sezonach miewał przedstawienia dobrej klasy, czasem bardzo dobrej (za reżyserji np. Żelazowskiego, Wysockiej, Trzcińskiego, nieraz Szpakiewicza, Sosnowskiego). Jest też i motyw społeczny, — który także musi wchodzić w rachubę, skoro przy inflacji aktorów, a w kryzysie ogólnym scena coraz wyraźniej akcentuje swój charakter warsztatu pracy. Jako przedsiębiorstwo Teatr Polski nigdy nie był, ani nie jest okazją do załapywania subwencyj i do wygodnego życia kosztem zarywanych aktorów. Obowiązki względem personelu pełni uczciwie, dostarcza ludziom pracy, wynagradza ją według umowy, pracowników nie krzywdzi ani nie ograbia. Że w dzisiejszych czasach i w naszych stosunkach niezawsze tak bywa, wiedzą dobrze ci, którzy nie zamykają uszu na tajemnice Poliszynela.

POGMATWANIE I ROZPŁATYWANIE.

Zboczyłem trochę od głównego tematu; niech mnie usprawiedliwi to, że sytuacja teatru bardzo się dzisiaj pogmatwała. Nie znalazł on sobie jeszcze miejsca w nowych stosunkach i Bóg raczy wiedzieć, kiedy się w nich porządnie usadowi. Tem mniej rozumiałbym, dlaczego w tej nieszablonowej sytuacji jedno tylko musiałoby dawnym szablonem pozostać? — mianowicie rola recenzenta, rola, mająca polegać na „chwaleniu“, albo „rżnięciu“, jeżeli nie ma wyjść na „wykręcanie się“ od tamtych ważnych i tak bardzo pożytecznych dla teatru czynności? Dzisiaj, z upływem lat, bardziej niż kiedykolwiek daleki od narzucania innym swej opinji — uważam, że pośredniczenie między autorem a widzem, że wprowadzanie czytelnika w technikę teatru i rozciekawianie go do niej, że żądanie od sceny tylko tego, czego sprawiedliwie żądać można, że wreszcie nieodstraszanie publiczności od teatru — że wszystko to ma pewne rozsądne podstawy — głębsze w każdym razie, niż jałowe chlastanie, naprzemian z lukrecjowemi zachwytami, które w równej mierze dezorjentują publiczność, jak aktorów, i tak skazanych przez swój zawód na dożywotnią huśtawkę między zwątpieniem a megalomanją. Ale to osobna historja, jak powiada Kipling.

A Z WIERSZA ODSTĄPIĆ.

Proszę mi wyrozumieć dłużyzny (problem był bezmała taki, jak wyczerpanie morza łyżeczką do kawy): a przedewszystko demonstrowanie stanowiska dziennikarza na stanowisku swojem własnem. Dawno zastąpiłem w recenzjach dostojne „MY“ pokorniejszem (ale i odpowiedniejszem jak myślę) „ja“; powtóre — zostałem przez „Głos“ pociągnięty za język. Przytem sprawy teatralne są bardzo skomplikowane, o wiele bardziej, niż n. p. sprawy polityczne, któremi wprawdzie dawno przestałem się już po dziennikarsku zajmować, ale których tworzywo i kompleksję jeszcze sobie przypominam. Kto teatrem nie żył, ten nie odrazu uwierzy, ile jest czeków bez pokrycia w różnych wyobrażeniach, jakie laik sobie o tym światku urobił, ile głupstw obiega jako pewniki i przez jaki gąszcz nieporozumień zasadniczych trzeba się do istoty rzeczy przedzierać. Tem szczerzej czuję się „Głosowi“ zobowiązanym, że dyskusję mi umożliwił.



Witraż Stanisława P o w a l i s z a „Św. Stanisław“, wykonany w kościele w Radoszowej, pow. Rybnik (Śląsk).

REMIGJUSZ NEY

Próba rewizji regjonalizmu

Mało jest ludzi, którzyby nie uważali regjonalizmu za prąd wartościowy. Pomijając wszystkie inne, już ten jeden fakt, że wypłynął on z ogólnie odczuwanych potrzeb, że był reakcją na panoszący się we współczesnej naszej literaturze „europeizm“, że stal się przeciwwagą jej odśrodkowych tendencyj — zamyka usta tego rodzaju sceptykom.

Nie znaczy to jednak, jakoby regjonalizm nie nasuwał wielu wątpliwości i zastrzeżeń. Jest to nawet zupełnie naturalne. Im większy, im szerszy jest jakikolwiek prąd umysłowości, tem więcej wzbudza objekcyj i problemów.

Kilkuletnie trwanie regjonalizmu umożliwia już rzucenie nań spojrzenia bardziej krytycznego i analizującego, umożliwia dojrzenie w nim takich czy innych tendencyj i napięć kierunkowych. To też przeprowadzenie próby rewizji regjonalizmu nie będzie zapewne uchodzić za przedwczesne. Dojście do obojętnie jakich wyników okaże się zawsze płodne: obudzi większą czujność i troskę o jego losy, usunie szereg nieporozumień, ujawni jego słabości i niedomagania.

Więc najpierw podejdziemy do regjonalizmu od strony jego „mózgu“. Jaki jest program poezji regjonalnej? Programu tego w ścisłem słowa znaczeniu niema, aczkolwiek wypowiada się wiele zdań i „myśli o programie poetów ziemi“. Poeci sympatyzujący z tym prądem pragną treść swej twórczości czerpać z nieustannego współżycia z ziemią rodzinną, z „przylgnięcia do podglebia“. Hasło to jest równie względne jak kwestja natchnienia poetyckiego. Poeci - regjonaliści świadomie dążą do artystycznego obrabiania materjału przeżyciowego, związanego z ziemią. A przecież poezja jak wogóle cała twórczość wyrasta conajmniej w równym stopniu z podświadomości, co ze świadomości. Przeto hasło: świadomy zwrot do ziemi — może być tylko połowicznie realizowane, inaczej wyda utwory poronione. Wszystko zależy od typu twórczego jakiegokolwiek poety - regjonalisty: może on być intelektualistą w rodzaju Paula Valéry, dla którego poezja była rozwiązywaniem zadania matematycznego, i jako taki może z doskonałemi rezultatami artystycznemi w dziedzinie tej przeorać; może być emocjonalistą w rodzaju niedawno zmarłego ks. Brémond i wtedy nakaz ten będzie dlań zupełnie zbyteczny, bo on i tak inaczej tworzyć nie potrafi, jak tylko w ten sposób, by czerpać materjał twórczy z podświadomości t. zn. w lwiej części oparty na przeżyciach pierwiastkowych, — a nawet gorzej — może dojść u niego do zahamowania biegu twórczości naskutek oporu, jaki mu stawia świadoma wola oparcia się na podglebiu, o ile, rzecz zrozumiała, na nakazy te silnie zareaguje. Dążenie do autentyzmu, do konkretyzmu nie jest tem, co możnaby wziąć za zasadniczy atrybut poezji regjonalnej. „Poeci ziemi“ nie mają więc swojego sprecyzowanego programu — co możnaby ostatecznie przeboleć. Ziemia — i tyle.

Gorzej już jest, że nie mamy dotychczas prawdziwej poezji regjonalnej. Są tylko usiłowania, próby, ćwiczenia, „konstrukcje“. Jedyny chyba wyjątek może stanowić mało komu znany zbiorek wierszy, naprawdę cennych Gabrjela Tadeusza Hennera p. t. „Stara Bydgoszcz w pieśni“, wydany w roku 1924, a więc nie można go już policzyć na karb regjonalizmu.

Operowanie motywami regjonalnemi też nie jest niczem nowem. „Ukrainizm“, „litwinizm“ itp. poetów romantycznych, twórczość Kasprowicza, Orkana, Żeromskiego, Dygasińskiego i in., dowodzi aż nadto dobrze, że regjonalizm jest zjawiskiem ciągłem, powszechnem, a uprawianie go to rzecz indywidualności artystycznej.

Stosunkowo najmniej przeoranym gruntem przez pług regjonalizmu są ziemie zachodnie i tam jest on nowością. Lecz jak na dzisiejsze stosunki wątpliwe jest, czy kiedykolwiek ona powstanie. Coprawda nie brak sentymentu regjonalnego, który doskonale sprzyja buffonadzie, humbugowi regjonalnemu. Mojem zdaniem, nie wystarczy wędrować, udrapowawszy się w akcesorja bogactwa średniowieczego, z jednej miejscowości do drugiej, mniej lub więcej rzeczowej i nagwałt wyciskać z siebie pseudopoetyckie natchnienie — w przeświadczeniu, że tutaj muszę, tutaj powinien być poetą i na wszystko okiem poety potrzeć. To fałszywa droga, karykaturzenie regjonalizmu, robienie z siebie małpy. Nie wystarczy również znajomość historji danego regjonu, choć to jest konieczne. Nie wystarczy używać stylizowanej gry i koturnowo - młodopolskiej aretuizacji: drawiejami, gędźbami, gęślami, grążami. Bo wszystko to gotowe jest sprawić, że poezja rejonalna nigdy światła nie ujrzy. Trzeba raz zerwać z sentymentami, z całą tą bujdą regjonalną, a wyrobić sobie zdrowy, szczery i własny stosunek do przedmiotów działania regjonalizmu i do niego samego.

Inna rzecz, którą się przemilcza, to sprawa przymiotów literackich — talentów regjonalnych. Powinien się tutaj wytworzyć sui generis mecenot. Regjonaliści roztaczaliby opiekę nad ludźmi, którzy pozbawiani są wszelkich dyrektyw, wszelkich kryterjów, pomocy i rad w ich trudnej pracy, przy której zdani na własny instynkt, często zawodzący, mogą się tak łatwo zmanierować i skończyć. Szczególnie doniosły jest tu problem umiejscowienia talentów rodzimych w hierarchji twórczości literackiej, problem konfrontacji przymiotów tych z twórczością poziomu kulturalnego. Niedawno przy pewnej sposobności ujawniło mi się ciekawe zjawisko. Oto talenty samorodne odznaczają się silną predylekcją (można nawet powiedzieć: to jest punktem ich ambicji) do posługiwania się schematami, konwenansami i szablonami kultury, o którą się ocierają, poprostu pragną wejść w jej dziedzinę. I tutaj wyrasta niepokojące pytanie: czyż ci, którzy stanowią poważny element regjonalizmu, nie utoną w jakimś tam okresie swego rozwoju w odmęcie tej kultury, w odmęcie pełnym chaosu i anarchji — a przez to zatracą to, co jest ich całą wartością, co ich trzyma: pierwotność?

Jest to kapitalne zagadnienie jak na regjonalizm, które prosi się o poważną dyskusję. Niestety, szeroko się o tem mówi choć czyni to każdy na własną rękę, jak może. Lecz tutaj nowe niebezpieczeństwo: snobizm regjonalny. Każdy prawie regjonalista — inteligent poczytuje za swój obowiązek opiekować się napotykanym talentem regjonalnym — i to jest dobre. Złem jest to, że dla snobizmu wprowadzonego na drogi, które mu nie odpowiadają, wmawia przez genjalność, łechce jego miłość własną dumnemi zestawieniami (staraj się napisać coś w rodzaju „Hymnów“ Kasprowicza), dumpinguje go stawianiem przed nim niezdrowych aspiracyj (pisz, jak pisze Reymont) itp. Można być prawie pewnym, że owo mecenasostwo nie każe długo czekać na swe owoce.

To jest niewątpliwie smutne. Snobizm regjonalny tłumi poczucie odpowiedzialności. Wyrasta z egoizmu, z egoizmu źle pojętego, a raczej odczutego, z kompletnego niezrozumienia doniosłości, wartości i istoty regjonalizmu. Proceder ten winien jaknajprędzej zniknąć z jego powierzchni. Kto już w jakikolwiek kontakt wchodzi z literatem samorodnym, winien sobie uświadomić wagę tego, co czyni. Ileż tu bowiem subtelności, ostrożności finezyj potrzeba, jakiej znajomości psychologji, szczególnie psychologji twórczości! Zadania te powinni wziąć na siebie całkiem serjo propagatorzy regjonalizmu, a skuteczność ich pełnienia gwarantowanaby była istnieniem organizacji regjonalistów. Nie ma jej dotychczas, bo nie stworzy jej jedno czy drugie pismo regjonalne. Może nigdzie indziej takiej prawdy nie nabiera Wyspiańskiego: „Każdy sobie rzepkę skrobie“ — jak wśród regjonalistów. Conajwyżej każdy z nich ograniczy się do filuternego mrugania okiem na siebie.

A przecież społeczne zorganizowanie regjonalizmu staje się nieodzowną koniecznością, zwłaszcza, gdy, podejdzie się doń, jako do prądu kulturalnego o niesłychanie szerokiej perspektywie.

Jeśli regjonalizm literacki nie był odkryciem, choć zyskał na aktualności z przyczyn wymienionych na początku artykułu, to całkiem nowym jest regjonalizm jako zjawisko kulturalne. Szczególnie w Polsce.

Odznacza się niezwykłą świeżością i urokiem, posiada potencjonalną moc i długotrwałość — to jest na tle dzisiejszych czasów — anachronizmem.

Powszechnie uważa się dominontę kultury XX wieku jego awersję do przyszłości, jego ahistoryzm i futuryzm w dosłownem znaczeniu, karmiące się jego dumnym autokratyzmem, dalej urbanizm, amoralizm i wreszcie — tyranję mechanizmu. Regjonalizm, snadnie to zauważyć można, jest jej zupełną antytezą. Albowiem jest rewelacją wsi, pretendującej do zajęcia czołowego miejsca w kompleksie zjawisk kultury współczesnej. Jego działanie równoważy działanie miasta.

Skoro pesymiści spod znaku Żdziechowskiego czy Julien Bendy choroby wieku naszego widzą w jego materjalistycznym witalizmie i wigoryzmie — to mają niewątpliwą słuszność. Przecież w czynieniu złowieszczych horoskopów nie należy iść zbyt daleko. Są punkty świetliste. A jest nim i regjonalizm, który stanowi doskonałe anitidotum na wymienioną chorobą. Wyraźnie zdaje się on mówić: „Nie spieszmy się, tak czy owak, zajdziemy do swego finalnego celu, przystawajmy na drodze raz poraz, wszak jesteśmy dostatecznie w czas bogaci, odwróćmy wstecz głowy, by zobaczyć jak daleko uszliśmy i czy dobrze idziemy. Gdy się okaże, że źle mamy dość sił, by zawrócić“. Ahistoryzmowi kultury miejskiej kultura wsi przeciwstawia swe przywiązanie do tradycji, swój konserwatyzm. Jest cementem, spajającym przeszłość z teraźniejszością i przyszłością. Na energetyzm i kinetyzm tamtej — ta odpowiada statyzmem i swą dogłębnością, na amoralizm — dogmatyzmem. Przeciwko mechanizmowi życia naszego wysuwa swój indywidualizm.

Rzecz jasna, to, o czem mówię, to raczej przepowiednia, niż rzeczywistość. Mam jednak wrażenie, że duch ludzki posiada wiecznie regeneratywne właściwości, a takim jest m. in. i regjonalizm w mojem pojęciu.

Jak to jest jednak, zapytajmy się, z tą naszą kulturą regjonalną? Pod każdym względem, w każdym razie w Wielkopolsce — skandalicznie. Mimo wszelkie ustrzeżenia Z. Wasilewskego — zaściankowość, wąskość horyzontów, ciasnota pojęć i — wyznajmy to szczerze — ekscentryczność regjonowa — oto co odrazu rzuca się w oczy. Krótko — zaprzeczenie wszelkiej kultury.

Tak dalej być nie może. Czas wreszcie zrozumieć, że naprawiać regjonalizm nie znaczy to kochać swój regjon — choć z tą „miłością“ regjonu różnie bywa — poznawać go i badać i poza jego opłotki nie wychodzić. Regjonalizm to nie jest zwykłe hołdowanie prymityzmowi. REGJONALIZM TO PRZEDEWSZYSTKIEM BUDOWANIE OBOK SUPREMUJĄCEJ KULTURY DZISIEJSZEJ, TEJ MIEJSKIEJ, KULTURY SILNEJ, FUNDAMENTALNEJ, WIELKIEJ, KULTURY WIEJSKIEJ LUDOWEJ, KULTURY, KTÓRA TYLE JEST EUROPEJSKĄ, ILE NARODOWĄ, ILE RODZIMĄ. A więc — wytężona praca do podstaw zupełnie w stylu dawnego pozytywizmu, dla ludu naszego, wychowywanie zarówno uświadomionych producentów kultury wiejskiej, regjonalistycznej, jak i jej współwyznawców. Tutaj — źródła odrodzenia.

Zagadnienia rzucone przezemnie, abstrahuję od kwestji ich oryginalności, są zbyt ważne, by można było poprzestać na jednym artykule. To też wrócimy do nich niebawem.



Wl. Skoczylas Żebrak

MŁODY POZNAŃ

Wawrzyniec Kaim

Z pośród rzeźb wystawionych na Wystawie Sztuki Religijnej wyróżniały się niezwykłą świeżością i nowoczesnością formy rzeźby Kaima. Oryginalny, młody styl i aktualne ujmowanie zagadnień, to jedne z głównych właściwości jego twórczości. Łącznie z wielką inwencją i talentem sprawiają, że zasięg jego możliwości artystycznych jest szeroki i nie zasklepia się w wałkowaniu jednych tylko i tych samych zdobyczy. Przeciwnie zdobyczy tych jest wiele. Kaim opanował doskonale wszelką technikę i każdym materjałem operuje z największą łatwością. I nie tylko to: posiada zrozumienie wartości i charakteru danego materjału i wie kiedy go użyć najstosowniej. To także pomaga mu do wydobycia jaknajwięcej walorów z rzeźby.

Rzeźby figuralne Kaima są zwarto komponowane w bryle, nie mają dziur kompozycyjnych, rozrywających całość. Jest to główna ich cecha. W tem są podobne do rzeźb **Michała Anioła,** o których mówi się, że są tak rzeźbione, iż mogą spaść z wysokości nie obtłukszy sobie żadnej części (naturalnie prócz głowy), przykład: **Madonna Medici.**

U Kaima wszelkie motywy pomocnicze, czy akcesorja, są ściśle zwarte z figurą i rzadko kiedy zmieniają jej zasadnicze kontury. Fałdy szat opinają przylegająco postać, podkreślając jej budowę anatomiczną.

Przykładem zwartego komponowania jest projekt Pomnika Harcerzy, nagrodzony na konkursie i przeznaczony do wykonania, gdzie postacie harcerzy, ściśle połączone z architekturą pomnika, tworzą skupioną strzelistą bryłę. Te właściwości sprawiają, że Kaim z zamiłowaniem używa prostych i spokojnych linij i form. Stara się nie rozpraszać uwagi widza przez drobne szczegóły, lecz z rozmachem przeprowadzonemi płaszczyznami czy linjami wydobywa najistotniejszy charakter przedstawianej postaci.

Wykonując rzeźbę przeznaczoną do umieszczenia w architekturze bardzo dobrze rozumie postulaty tejże i rzeźba jest zawsze doskonale z nią zgrana i tworzy całość tektoniczną. Przykładem może być figura **Królowej Jadwigi,***) która ma być umieszczona na fasadzie budowli jako podkreślenie jej osi i pionowości. Dzięki swojej linearnej koncepcji, nie gubiącej się w szczegółach i konstrukcyjności formy, spełnia znakomicie swoje zadanie.



W. Kaim Madonna

*) Reprodukcję tej rzeźby umieszczono w nr. 8 „Głosu“.

Rzeźby Kaima odznaczają się wielkiem poczuciem smaku i objawiają dużą kulturę. Powoduje to, że są one bardzo starannie wykonane z przemyślanym i estetycznym doborem motywów i tematów, tworzących harmonijną całość, i każdy patrzy na nie z największem zadowoleniem.

Osobną dziedziną twórczości Kaima jest portret, a w szczególności plakieta portretowa. Plakiety są wykonane w bronzie i fajansie, w obydwu materjałach dając różne efekty. Bronz silnie modeluje kontury i rysunek, fajans daje modelunek miękki, delikatny. I dlatego artysta szczególnie używa fajansu do portretów kobiecych, w których najbardziej chodzi o wydobycie wdzięku, a do czego fajans specjalnie się nadaje (wystarczy porównać sztukę **Robbiów**), a bronzu do męskich, gdzie chodzi o wydobycie i podkreślenie siły rysów i charakteru. Właśnie ten charakter jest świetnie wszędzie wydobyty, żaden z portretów nie zatraca swych cech indywidualnych, które są należycie uwypuklone.

Kaim jest absolwentem Państwowej Szkoły Przemysłu Drzewnego w Zakopanem, studjował także w krakowskiej Szkole Przemysłu Artystycznego u Raszki oraz w warszawskiej Szkole Sztuk Pięknych u Breyera. Szereg jego pomników, wykonanych w kamieniu i bronzie, znajduje się w rozmaitych miastach Wielkopolski i Pomorza. Talent Kaima młody i ciągle świeży, zawsze interesujący się nowemi możliwościami i szukający nowych rozwiązań sprawia, że SZTUKA JEGO JEST ZJAWISKIEM DUŻEJ MARY I STOI NA WYSOKIM POZIOMIE W ROZWOJU POLSKIEJ RZEŹBY.

T. Rec.

STANISŁAW STATKIEWICZ

Wicher

Wicher jęczy, wicher hula,
Świszcze i kołacze
Do zamkniętych schronisk człeczych.
A skamle, a płacze
Oj! ty wichrze! idź na pola
I tam sobie szalej.
A umykaj precz od ludzi
dalej, byle dalej.
Nie zrozumią cię już ludzie,
Niechcą i nie mogą;
Lataj jęczeć, płakać, hulac,
lecz nie ludzką drogą,
Bo szlachetnych uczuć ludzkich
lampa się dopala.
Jak chcesz hulać, hulaj wolny,
Lecz od ludzi zdala.

NA WIDOWNI

Wolność a liberalizm

Charakterystyczną cechą enuncjacyj chyba wszystkich polityków młodego pokolenia jest druzgocąca krytyka liberalizmu, doktryny stanowiącej podkład ideowy ustroju politycznego ubiegłej doby. Słowo „liberał" stało się wyrazem pogardliwym, a rzucenie niem komuś w twarz jest kamieniem obrazy. Niestety jednak duża część tych polityków, wśród nich także i niektórzy narodowcy określają tym epitetem każdego, ktokolwiek odważy się wyrazić dodatnio o wolności jednostki w jakimkolwiek sensie. Podnosi się wtedy wrzawa: „gwałtu... liberał!!".

Dla umysłów, szermujących pojęciami bez wgłębiania się w ich treść, krytyka upadającego ustroju i wyciągania z tego upadku wniosków przedstawia się nader prosto. Ustrój liberalny, to ustrój oparty na zasadzie wolności. Jego upadek jest bankructwem, według nich, wolności jednostki. Sięgają wobec tego po antytezę zasady wolności, po zasadę przymusu i na niej chcą oprzeć przyszły ustrój. Reakcja ich jest krańcowa i odbywa się w ramach jednego światopoglądu, przeciwstawiającego sobie jednostkę i państwo. Od ustroju, w którym na pierwszym planie stoją cele i wolność jednostki, chcą przejść do ustroju, w którym jednym celem ma być dobro państwa, lecz realizowane drogą przymusu tylko przez państwo. W tym ustroju jednostka ma zrezygnować z całej swej wolności na rzecz zbiorowości pojętej konkretnie: państwa i to państwa pełnowładczego.

Nie dziwią nas te poglądy u młodych „sanatorów". Ideologja państwowa „sanacji" opiera się przecież na indywidualistyczno - materjalistycznym światopoglądzie. Dziwić nas muszą natomiast u niektórych młodych publicystów „państwowo - narodowych", u których reakcja przeciw liberalizmowi w tym poszła kierunku. Źródło nieporozumień leży w tem, że publicyści ci negują wolność jednostki całkowicie.

Aby nieporozumienie to usunąć trzeba wrócić do punktu wyjścia polskiej myśli narodowej, do jej podstawowych założeń. Jeżeli przyjmiemy zgodnie z materjalistycznym indywidualizmem przeciwtsawność jednostki i państwa, to rozstrzygnięcie stosunku między niemi może być tylko dwojakie. Albo przewagę ma jednostka (liberalizm), albo państwo (etatyzm). KIERUNEK NARODOWY, OPARTY NA ŚWIATOPOGLĄDZIE UNIWERSALISTYCZNYM, WPROWADZA IDEALNE POJĘCIE NARODU I PODPORZĄDKOWUJE MU JEDNOSTKĘ, WPRZĘGAJĄC I JEDNOSTKĘ I PAŃSTWO DO SŁUŻBY CELOM NARODU I DLA JEGO DOBRA, STWARZA ON JEDNOKIERUNKOWĄ HARMONJĘ I WSPÓŁPRACĘ PAŃSTWA I JEDNOSTKI.

Cele narodu, zależnie od swej istoty, mogą być realizowane bądź w granicach możliwości jednostki, bądź też jedynie w granicach możliwości państwa. Analiza celów narodu odprowadziłaby nas zadaleko od tematu. Celem narodu, który może być realizowany jedynie przez państwo, jest np. rozszerzenie terytorjum narodowego, celem, który może być zrealizowany wyłącznie przez jednostkę, jest np. podnoszenie kultury narodowej przez indywidualne dzieła sztuki. Państwo, realizując powierzone sobie cele narodu, musi poddać jednostkę przymusowym ograniczeniom, jednakże o tyle tylko, ile realizacja danych celów tego w y m a g a. Jednostka bowiem musi posiadać pewną sferę swobodnego poruszania się, aby m o g ł a z r e a l i z o w a ć t e c e l e n a r o d u, które ona jedynie skutecznie realizować może.

Mówiąc o państwie nie trzeba zapominać, że jest to konkretnie pojęta zbiorowość, składająca się z rządzących i rządzonych. Gdy państwo ma realizować powierzone sobie cele narodu, o tem co jest dobrem i celem narodu rozstrzygają rządzący. Konieczny jest zatem wysoki ich poziom intelektualny, moralny, etyczny. Koniecznem jest to ,żeby do władzy dostawali się ludzie najodpowiedniejsi, żeby elita nie skostniała i nie zamknęła się, żeby nie zamieniła się w klikę pasorzytów. Wysoki poziom wewnętrzny rządzących oraz krążenie elity, a co zatem idzie trwała równowaga, jest nie do pomyślenia w atmosferze przygniecenia jednostki i odebrania jej wszystkiej swobody na rzecz państwa — molocha (czytaj: rządzących). Państwo nie służy wtedy celom narodu i jego dobru, a staje się folwarkiem kliki rządzącej, co musi być zarodkiem zaburzeń wewnętrznych, nieszczęść narodowych.

Niema w światopoglądzie narodowym miejsca na ustrój, gdzie wszystko ma się obracać wkoło egocentrycznej jednostki, ale też nie możemy się zgodzić na ustrój, opierający się na zaprzeczeniu wszystkiej swobody jednostki, państwa pełnowładczego. Nasza reakcja przeciw ustrojowi liberalnemu nie może być mechanicznym przeskokiem w drugą ostateczność, a musi wypływać z najgłębszych założeń idei narodowej. POTĘPIAMY WOLNOŚĆ JEDNOSTKI, JAKO CEL USTROJU, MUSIMY NATOMIAST PRZYJĄĆ JĄ W USTROJU PAŃSTWA NARODOWEGO, JAKO NIEZBĘDNY W NIEM, A NIE MAJĄCY NIC WSPÓLNEGO Z LIBERALIZMEM, ŚRODEK DO REALIZOWANIA PRZEZ JEDNOSTKĘ CELÓW NARODU.

K. Torski.



Kirem żałoby okrył się cały świat, pokryły się polskie serca: zmarła Marja C u r i e - S k ł o d o w s k a, jedna z najświetniejszych postaci, jakie znają dzieje.

Marja C u r i e - S k ł o d o w s k a należy do rzędu tych uczonych, których nazwiska błyszczeć będą zawsze pełnią blasków w dziejach ludzkości.

* * *

Śp. Marja Curie - Skłodowska urodziła się dn. 7 września 1867 r. w domu przy ul. Freta w Warszawie, jako najmłodsza z pięciorga dzieci Władysława i Bronisławy Skłodowskich, zasłużonych działaczy pedagogicznych. Ojciec jej był profesorem fizyki w jednem z gimnazjów warszawskich. Matkę utraciła, gdy miała 9 lat. Nauki pobierała na pensji Sikorskiej, a później III-ciem gimnazjum żeńskiem w Warszawie przy ul. Krakowskie Przedmieście 36. Gimnazjum skończyła w 15-stym roku życia ze złotym medalem. Mając 17 lat, przyjęła posadę nauczycielki w jednym z majątków.

Po powrocie do Warszawy przez parę lat utrzymywała się z pracy nauczycielskiej, uczęszczając przez ten czas do pracowni fizycznej przy Muzeum Przemysłu i Handlu.

W r. 1891, gdy starsza jej siostra osiadła w Paryżu, sprowadziła Marję Skłodowską do siebie. Śp. Marja Skłodowska zaczęła studja w Sorbonie. W r. 1894 poznała w Paryżu Piotra Curie przez prof. Józefa Kowalskiego z Fryburga. W r. 1895 zawarła związek małżeński z Piotrem Curie. Pierwszą jej pracą oryginalną była praca o magnetycznych właściwościach stali, wykonana w pracowni prof. Lipmana.

Studjując promieniotwórczość dokonała odkrycia nowych nieznanych pierwiastków o wielkiej sile promieniotwórczej. J e d e n z t y c h p i e r w i a s t k ó w n a z w a ł a n a c z e ś ć P o l s k i p o l o n e m.

Drugim pierwiastkiem, odkrytym przez nią wspólnie z małżonkiem, był r a d. Epokowe to odkrycie dokonane było w nędznej szopie, gdzie Curie mieli swe pierwsze laboratorjum.

E p o k o w e o d k r y c i e r a d u w y w o ł a ł o w ś w i e c i e f i z y c z n o - c h e m i c z n y m p r a w d z i w ą r e w o l u c j ę.

GŁOSY I ECHA

Audiatur et altera pars

W związku z artykułem „Publiczność i recenzenci w Poznaniu" w nr. 11 „Głosu" otrzymaliśmy następujące pismo:

Szanowna Redakcjo!

W ostatnim numerze „Głosu" ukazał się artykuł p. Burchardta p. t. „Publiczność i recenzenci w Poznaniu". Artykuł ten, widać pisany przez znawcę teatru i jego spraw, zawiera wiele, bardzo trafnych i słusznych uwag, jednak mimo wszystko budzić musi zastrzeżenia.

Pan Burchardt pisze w zakończeniu swego artykułu: „Wprawdzie każdemu wolno się kompromitować. Lecz na własną rękę i tylko — do g r a n i c i s k a n d a l u. Sam jednakże tej maksymy nie przestrzega i przekracza granicę, podyktowaną objektywną oceną, wkraczając w dziedzinę skandalu... Czyniąc przegląd poznańskich sprawozdawców teatralnych potraktował p. Burchardt w sposób b e z p r z y k ł a d n y recenzenta Teatru Nowego „K u r j e r a P o z n a ń s k i e g o", który — sam to przyznaje — „jak żadne pismo codzienne w Polsce opiekuje się kulturą i sztuką".

Ton uwagi o tem recenzencie jest zgoła nie do przyjęcia. Trzeźwy, u m i e j ę t n i e o c e n i a j ą c y, podkreślam to z naciskiem, krytyk p. Burchardt dał się tu ponieść temperamentowi i odbiegł daleko od linji r z e c z o w e g o sądu. W ten sposób słuszne zasadniczo uwagi nabierają charakteru zbyt osobistego, z dziedziny k r y t y k i przechodzą w płaszczyznę raczej n a p a ś c i...

Takie nasunęły mi się uwagi na marginesie artykułu p. Burchardta, których umieszczenia sądzę Szanowna Redakcja nie odmówi mi.

Z poważaniem

Poznań **Zygmunt Szumski.**



Żniwa w pełnym toku...

(Dokończenie ze strony 3-ciej).

Jedynie zaś realną jest IDEA PAŃSTWA NARODOWEGO, DBAJĄCEGO UCZCIWIE O INTERESY CHŁOPA POLSKIEGO NIETYLKO NA WSI, ALE TAKŻE W CAŁEM ŻYCIU PAŃSTWOWEM. Chłop jedynie w oparciu o ideę narodową może sobie zapewnić odpowiednie miejsce w społeczeństwie. Zapewnić zaś je może nietylko dlatego, że sam jako taki reprezentuje poważną i najściślej z całością narodu zespoloną siłę, ale też przedewszystkiem dlatego, że chłop jest obozowi narodowemu potrzebny do jego wielkiej pracy politycznej, zakrojonej na miarę historyczną.

KĄCIK JĘZYKOWY

Dźwięczne „h" i wyraźne „ł"

Pod takim tytułem ogłosił niedawno w „Kurjerze Poznańskim" w dziale Kultury i Sztuki (Nr. 287 z dnia 29 czerwca 1934) p. W. N. artykuł, broniący za wzorem prof. Cywińskiego w Wilnie, wymowy dźwięcznego „h" i wyraźnego „ł". A więc jak to ma być z tem „h". Wiadoma jest rzecz, że „h" występuje w nielicznych tylko wyrazach jak np. hańba, herbata, hardy itp. Wszystkie te wyrazy są zasadniczo obce. Otóż prof. Cywiński i p. W. N. chcą koniecznie by to „h" wymawiać dźwięczne, jako odpowiednik do bezdźwięcznego „ch". Niestety dźwięcznego h cała rdzenna Polska nie wymawia, wogóle go nie posiada. Posiadają dźwięczne „h" jedynie Kresy Wschodnie, gdzie ono wcale nie jest pochodzenia rodzimego. Można się zgodzić ostatecznie, że Wilnianin będzie wymawiał sobie h dźwięczne, ale nie można absolutnie zrozumieć, dlaczego ma to h dźwięczne wymawiać cała Polska. Prof. Cywiński powiada, że mowa zasila się z djalektów, a czyż w djalektach polskich jest h dźwięczne? Niestety tam go nie ma. Wobec powyższego wymawianie h dźwięcznego nie ma naturalnej podstawy a propaganda sztuczna nie ma i tak sensu, bo przecież nikt tem i tak się nie przejmuje. Może niezadługo usłyszymy z desek teatrów owo dźwięczne „h", ale to będzie nie język polski, lecz najzwyklejsza sztuczna gwara, obca duchowi języka polskiego. Język polski, jak każdy zresztą język, posiada własne prawa rozwojowe i nie mamy się ich co wstydzić. Co może być potrzebne do efektu teatralnego, to jeszcze nie musi nas obowiązywać. Jeżeli cała rdzenna Polska, tak język warstw wykształconych, jak i gwar nie posiada „h" dźwięcznego, uznać trzeba i zgodzić się, że widocznie tak jest poprawnie a dźwięczne „h", to właściwość gwarowa Kresów Wschodnich, no i pewnych osób, którzy chcą tak mówić. (Niewiadomo czy rzeczywiście mówią — sam spotkałem dużo osób, którym się tylko zdawało, że tak czy owak mówią).

Tak by to było z owem „u" bezdźwięcznem. Obecnie kilka słów o wyraźnem „ł". Prof. Cywiński woła: „Jakto i o ten dźwięk walczyć trzeba". Otóż można odpowiedzieć, że nie ma już o co walczyć! Po pierwsze musimy odróżnić dwie pozycje ł: 1) ł samodzielne, jeśli tak można powiedzieć, 2) ł w pozycji przed spółgłoską bezdźwięczną po spółgłosce oraz po spółgłosce na końcu wyrazu. Wymowa ł samodzielnego brzmi dzisiaj jak u niezgłoskotwórcze. Z ł zgłoskotwórczem znowu zostały Kresy Wschodnie. Cóż na to poradzimy. Mojem zdaniem nic. I jedno i drugie równie dobre — bo przecież jedno i drugie jest równie w y r a ź n e i dźwięczne, a więc posiada cechy, o które chodzi p. W. N. Jeżeli chodzi teraz o ł między spółgłoskami pod punktem 1., to w wymowie wogóle go niema, istnieje tylko w piśmie, a my wiemy doskonale (uczeń pierwszej szkoły powszechnej też), że nie wszystko, co się pisze, to się wymawia — tak już jest! Jabym wcale nie strzelał do osób, które wymawiają j a b - ł - k o, a nie normalne j a p k o, trochę humoru się przyda na obecne ciężkie czasy. Przyznam się, że ja też słyszałem ludzi (nauczycielki z moich czasów gimnazjalnych), którzy wymawiać koniecznie chcieli ł w powyższych pozycjach, cóż z tego, kiedy zamiast ł wychodziło coś w rodzaju uł, w u krótkiem i ł nota bene w postaci niezgłoskowanego u, a więc coś w rodzaju s z e d u ł zamiast normalnego s z e d a piszemy s z e d ł. Nie wiem, czy propagator ł w wyrazie jabłko byłby zadowolony, gdyby usłyszał j a b u ł k o z akcentem na pierwszej sylabie, a do tego delikwent upierałby się, że tak akurat dobrze!

My wolimy to już uznać za dobre i poprawne, co jest powszechne, co wcale nie znaczy byśmy mieli walczyć z nowemi tendencjami, za nowe tendencje, uważamy dźwięczne „h", oraz wyraźne „ł"; skoro jednak będzie powszechne w wymowie, to i my uznamy za poprawne i choćby z tego pączka wyrodziło się nawet jabułko.

A więc laisser faire, laisser passer „dźwięczne „u" i wyraźne „ł", szkoda naboju na wystrzał, co ma wisieć i tak utonie!

L. Z.

MŁODZI W ARMJI

OSTATNIA SZKOŁA...

Zbyt jesteśmy poparzeni przez słońce, zbyt jeszcze „glebae adscripti", przywarci do terenu, przytuleni do ziemi, przemierzonej stopą naszą, zbyt bliscy tej ostatniej szkole, aby żal czuć, że ją opuścić trzeba. Jakiś serdeczny uścisk dla kolegi, którego przedtem się nie znało, jakieś słowo pożegnania dla wodzów naszych — ot i jazda! byle prędzej... jakoś nie nęcą nikogo te czerwone mury podchorążówki. Jakieś, zda się, chłodne pożegnanie. Dlaczego? Dokąd wam tak spieszno, przyjaciele drodzy?

A więc ostatnią szkołą jest podchorążówka niewątpliwie dla tych, którzy swą powinność wojskową odbywają po ukończeniu uniwersytetu względnie seminarjum i teraz spieszno im do swoich stanowisk nierozpoczętych jeszcze lub porzuconych rok temu. Stąd powód pośpiechu.

Przyszliśmy do służby wojskowej z przeświadczeniem, że idziemy spełnić swój obowiązek obywatelski. Stosunek nasz do armji był przedtem już uregulowany, nim ją sami poznaliśmy zbliska. W tym właśnie stosunku zasadniczym żadna zmiana nie zaszła do chwili dzisiejszej i niewątpliwie nie zajdzie. Zarysowały się natomiast pewne poglądy szczegółowe na rzeczy przedtem nieznane lub znane powierzchownie.

Po kilkunastu latach istnienia naszej państwowości doszliśmy w organizacji naszej armji do stanu takiego, który można nazwać prawie normalnym. Nasza polityka zbrojeniowa, podobnie jak polityka zagraniczna, to były dwie dziedziny już nie nowe w chwili odzyskania niepodległości; istniały już przedtem i jako pierwsze stworzyły podstawę naszego bytu państwowego. Armja stała się przedmiotem największej troski narodu. Bo jeśli naród przeznacza na jej utrzymanie prawie jedną trzecią budżetu państwowego, jeśli przytem wszyscy zgodni jesteśmy w poglądzie, że to mało jeszcze w stosunku do tego, co dla zbrojenia robią nasi sąsiedzi od zachodu i wschodu, jedni dyskretniej, drudzy głośniej — to już dla nikogo szukać nie potrzeba argumentów, że armja to puls naszego spokoju państwowego, raz wraz szarpanego przy obłudnej dzisiejszej polityce quasi - pacyfistycznej. Pragniemy szczerze pokoju i dlatego przygotowujemy wojnę.

Tak jak nas stać na to: pancernikowi A czy B nie możemy przeciwstawić jakichś analogicznych tytanów morskich, sowieckiemu lotnictwu nasze dorównać jeszcze nie może. Za to w innym materjale górujemy, w materjale ludzkim, jakościowo.

Armja nasza jest dopiery napoły armją pokojową, tak jak armje wszystkich państw, które partycypowały w wojnie światowej. Będzie taką, dopóty ze służby czynnej nie wyjdzie ostatni oficer i podoficer z rzędu tych, którzy do armji polskiej przyszli po czynnych udziałach w wojnie światowej. Obojętnie po czyjej stronie. Naturalnym biegiem rzeczy dojdzie do tego, że za lat kilkanaście mówić będziemy o weteranach wojny światowej... I trudno przejść nam dzisiaj do porządku dziennego nad zagadnieniem, które się stąd samo narzuca: my sami uczyliśmy się rzemiosła wojennego jeszcze pod okiem ludzi, którzy przynajmniej w 75 proc. rzemiosło to dobrze wypróbowali w czasie wojny światowej względnie w roku 1920-tym. Jakoż z zaufaniem uczył się człowiek tych różnych — zda się, łatwych — przedmiotów przyszłej wojny, jakoś ten markowany nieprzyjaciel nie trącił zbytnio alegorją... jakoś to wyszkolenie bojowe nie miało jeszcze cech ćwiczeń tylko, wymuszonych sankcją regulaminu. Bo dowódca i instruktor powoływali się na przykłady przezeń przeżytych bojów. A co będzie, jeśli ten pokój dzisiejszy długo potrwa, jeśli ci nasi instruktorowie, którzy i tak dużo kłopotu mieli, by nam wmówić, że ślepak na polu ćwiczeń to tyle samo, co śmiercionośny nabój na polu bitwy, stopniowo przechodzić będą do rezerwy? Czy ten podchorąży, który śladem naszym przyjdzie do szkoły, dajmy na to za lat dwadzieścia, będzie wychodził z przeświadczeniem, że rzemiosło wojenne posiadł choćby w 50 proc.?

Niezdolni jesteśmy odpowiedzieć dzisiaj na to pytanie. Chciałem zresztą przez wysunięcie tego zagadnienia uwypuklić doniosłe znaczenie doświadczenia bojowego naszych instruktorów, jakie zaważyło bardzo na naszem wyszkoleniu.

Tylko przytem nasuwa się jeszcze jedna kwestja nęcąca. Skąd Niemcy stanęły w r. 1914, kiedy pokolenie z ostatniej ich wojny z roku 1871 było już na wymarciu, w takiej gotowości bojowej? A powtóre: czy, gdybyśmy się dzisiaj lub później znaleźli w tem samem, co oni w roku 1914 położeniu, czy także bylibyśmy praktycznie gotowi, organizacyjnie zmontowani, technicznie wyposażeni? Oto problemy, do rozwiązania których podstaw i materjału dał nam dużo nasz 11-to miesięczny pobyt w szkole. Myśleć nad temi zagdnieniami mamy nietylko prawo, ale i obowiązek jako obywatele i przyszli oficerowie rezerwy.



Podchorążowie w obozie...

Podchorążówka dała nam w tym względzie dużo pojęć i poglądów zasadniczych.

Znawstwo sztuki wojennej, które zdobyliśmy w szkole, nie wyczerpuje w całości tego, co od nas społeczeństwo wymaga, jakkolwiek szkoła ograniczyć się musiała jedynie do tego. To też, jeśli kto miał trochę dobrej woli, mógł w ciągu tych 11 miesięcy posiąść sztuki tej niemało. A już każdy z nas posiadł dużo hartu, pewnego obycia się z trudem fizycznym, który przecież zawsze, bez względu na jakikolwiek postęp techniki przyszłej walki, będzie wymogiem zasadniczym tejże walki. W tej mierze najwięcej szkole zawdzięczamy.

Łatwo niby mówić o trudach, które minęły. A wszakże niema wśród nas takiego, ktoby nie był zadowolony szczerze z tego, że zdolny był z trudów wyszkolenia żołnierskiego wyjść całym, zdrowym, bodaj zdrowszym. Dobrze będzie spojrzeć na te momenty wielkiego wysiłku fizycznego z odległości czasu. Wtedy dopiero oceni się należycie ich wielki wpływ wychowawczy. A jak wielki wpływ na nasze wychowanie żołnierskie miała pochwała za poniesione trudy jakiegoś uciążliwego marszu, za dobrze wykonane zadanie, pochwała udzielona rzadko, ale niezmiernie w porę, o tem mówić możemy dopiero potem. Błogosławieństwem dla żołnierza i jego wychowania jest taki dowódca, który względem siebie utrzymać karność bezwzględną, szacunek, a przecież żołnierzom stanowi przedmiot czci i oddania na śmierć i życie. Taki jeden dowódca starczy za wszystkich. Wychowankowie jego będą chcieli pójść w ślady jego, jeśliby kiedy wychowywać sami mieli żołnierzy.

A to nas w przyszłości czeka. Szkoła była dla nas pierwszym etapem naszej służby wojskowej. Dobrze i niedobrze, że zostawiliśmy ją na sam koniec, iż przybyliśmy do niej już dojrzali, krytycznie na wszystko umiejący patrzeć. Raczej jednak niedobrze. To też dzisiaj na podstawie doświadczenia własnego stanowczą stwierdzamy słuszność opinji, która jest i tak już panująca i ujęta została w ramy ustawy przez M. S. Wojsk., żeby swoją powinność wojskową odbywać najwcześniej. Naszym młodszym następcom gorąco polecamy do zastosowania radę, aby z odbyciem swej powinności wojskowej nie zwlekali ani chwili. I nam było trudniej i z nami niewątpliwie dowódcom naszym było trudniej .

Doszedł nas nieraz zarzut, jakobyśmy jacyś bezduszni byli, jacyś bez zapału, inni od ojców... zarzut ciężki! Może podyktowany jakiemiś spostrzeżeniami, nie mającemi znaczenia zasadniczego, może wypowiedziany w chwili roztargnienia lub przemijającego żalu? Dość, że to zarzut — mniej czy więcej istotny, — w każdym razie nie znoszący przemilczenia. Być może, że właśnie tych szczególnie dotyczył, którzy podchorążówkę traktowali jako ostatnią swoją szkołę. Właśnie tego pokolenia z piętnem tylko wojny — a samego powojennego.

Nie sądźcie nas Młodych, według warunków, w których sami wzrośliście. Jesteśmy już pokoleniem krańcowo od Was odmiennem, to prawda. Ale zapał nie zanikł i ducha w nas nie zbrakło patrjotycznego. Nie sądźcie nas według pozorów, które mają swe źródło w rzeczach niecodziennych, a daleko sięgających w głąb psychiki dzisiejszych powojennych pokoleń. Należy czy otworzyć na ten wielki kryzys, zaczynający się u stóp kryzysu ekonomicznego idący poprzez uświęcone przedtem pojęcia, a kończący się u wrót wielkich przeobrażeń moralnych, jakie dokonywują się w świecie powojennym. Potem sądźcie nas. Nie mógłbym wziąć pełnej odpowiedzialności za prawdziwość zdania, że wszyscy idealnie obowiązek swój wypełniliśmy, ale z czystem sumieniem rzec można, że nie było wśród nas, Młodych, nikogo, ktoby mimo niejednokrotnie ciężkich warunków, nie włożył tyle zapału i tyle sił w zdobycie wiedzy wojskowej, na ile go indywidualnie stać było. A w sumie daje to pewność, że swój obowiązek obywatelski spełniliśmy należycie. Gdzie nie było siły, była dobra wola. Negacji z naszej strony jakiejkolwiek nie było nigdy.

Szkoła Podchorążych spełniła wobec nas swoje zadanie w zupełności. Przeciętną tak zwaną „dobrą wolę" w zastosowaniu społecznem znaliśmy mniej więcej. Ale zdobywać się na siłę lub więcej wysiłku woli nauczono nas przykładowo — tu. To duży nabytek dla namiętnej, gorącej, a słabej psychiki Polaka.

A więc dobrze choć z tej strony, że tę najtrudniejszą edukację społeczną zostawiliśmy na koniec. Wykreśliło się moc frazesów z życia z poglądu na pewne sprawy narodowe i państwowe. Przyszły także refleksje na sprawy nieznane lub znane, a z pozoru nie nas nie obchodzące.

To tylko urywki myśli. Trudno je posegregować w chwili, kiedy nad wszystkiem przeważa radość, że się tę twardą próbę przeżyło. Tyle one może coś warte, że są samorzutne, że zrodziły się tu w szkole, że stanowią fragment z naszych wspólnych rozważań, którychby nie było, gdybyśmy tak, jak jesteśmy, to jest w wieku dojrzałym, nie przyszli do podchorążówki.

Podchorążówka zamknęła nasze wychowanie społeczne. Ostatnia to dla nas Alma Mater.

Z niewypowiedzianą ulgą jakąś wymawia się te słowa: jakby się nie chciało już nigdy spojrzeć wstecz, jakby się siłą wyrzucić chciało jakieś gorzkie wspomnienia...

Ach, jakież to znowu złudzenia!

Toć to nie dalej jak jutro odmienicie, koledzy, swoje zdania, odwrócicie swoją pamięć.

Odkryje nam się jakieś uczucie nowe, nieznane. Ni to miłość, ni to przyjaźń; ni pokrewieństwo, ni sakrament żaden. A uczucie potężne. Na długo go starczy w życiu: serca z pod żołnierskiego munduru szarego. Komu dane było zaznać w rodzinie kompanijnej przyjaźni rzetelnej, ten rzetelniejszej w życiu nie znajdzie.

A więc i uczuć część zostawiamy w tych murach, tak chłodno — zda się — żegnanych.

Pisane w Szkole Podchor. Rezerwy, w Zamborowie w 1929 r.

Feliks Fikus.

Adres Redakcji: Poznań, Św. Marcin 65. Konto P. K. O. 201410 Adres Administracji: Poznań, św. Marcin 65.

PRZEDPŁATA (wraz z przesyłką) rocznie 6 zł. półrocznie 3 zł.

CENY OGŁOSZEŃ: cała strona — 240 zł. 1/2 strony — 130 zł. 1/3 strony — 90 zł. 1/4 strony — 70 zł. 1/8 strony — 40 zł. 1/10 strony — 30 zł.

Rękopisy nieczytelne, bez podpisu i adresu autora nie będą uwzględniane. Przedstawiciel Redakcji w Warszawie: Jan Bajkowski; w Krakowie: Jan Bielatowicz. Rękopisów nie zwraca się.

Redaktor naczelny i wydawca: Jan Wyganowski, Poznań, Kierownik adm. i redaktor odpow.: Stanisław Sieciechowicz, Poznań.

Czcionkami Drukarni Wydawniczej Fr. Krajna Sp. z o. o. Poznań, ul. Strzałowa 2a.